

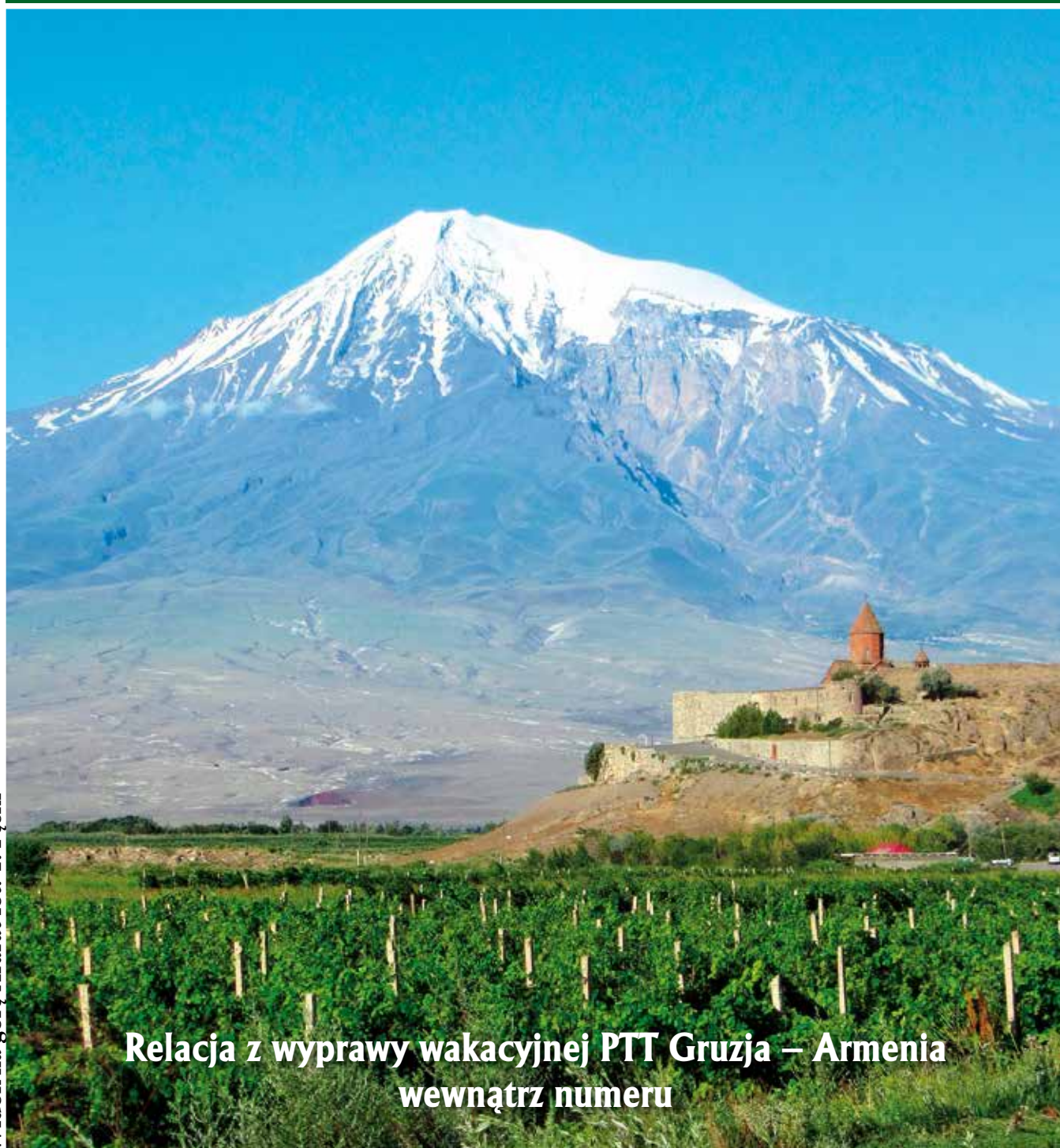
BESKID



Nr 1 (73) ISSN 1426-6776

grudzień 2016

**Pismo POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Oddziału BESKID
im. prof. Feliksa Rapfa w Nowym Sączu**



**Relacja z wyprawy wakacyjnej PTT Gruzja – Armenia
wewnątrz numeru**

Nasze wycieczki 2016



17.01-Rotunda - fot. Z. Smajdor



14.02 - Radziejowa na krechę - fot. Z. Smajdor



5-6.03-Pielgrzymka Przewodników - fot. Z. Smajdor



17.04 - Turbacz - fot. G. Piszczynski



18-19.06- Wyhorlat - fot. Z. Smajdor



1-15.07-Wyprawa Gruzja - Armenia - fot. W. Szarota



Batyzowiecki Staw - fot. G. Piszczynski



4.12. Babia Góra - fot. M. Przybylska

110 lat Oddziału „BESKID” PTT 1906-2016 r.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie jest najstarszą organizacją turystyczną w Polsce. Nie tylko o bardzo długiej, bo ponad 140-letniej, ale i pięknej i chlubnej tradycji.

PTT budowało schroniska, wytyczało turystyczne szlaki, organizowało przewodnictwo i ratownictwo górskie, wydawało przewodniki i mapy, inspirowało i prowadziło badania naukowe, było prekursorem ochrony przyrody, prowadziło działalność oświatową, kulturalną i sportową. Towarzystwo zajmowało się nie tylko wąsko pojętą turystyką. Dbało również o rozwój ziem górskich i kultury jej mieszkańców. Było także szkołą patriotyzmu i to nie tylko w czasach zaborów, gdy państwo polskie nie istniało, a Tatry nazywane były Ojczyzną i uchodziły za symbol Polski niepodległej. Z tego patriotyzmu członkowie Towarzystwa dobrze zdali egzamin w trudnych czasach.

Nowy Sącz zawsze słynął z wielu szeroko znanych inicjatyw i patriotycznych i społecznych. Ma też piękne tradycje w rozwijaniu turystyki górskiej. Było to możliwe dzięki mieszkającym tu wspaniałym ludziom, ale też dzięki wyjątkowemu klimatowi tu panującemu, co spowodowało, że ich praca znajdowała należyty oddźwięk i przynosiła zamierzony efekt.

Nowosądecki „Beskid” był jednym z najstarszych i prężniejszych Oddziałów PTT w kraju. W latach 1906 – 1950 wykonał olbrzymią pracę na rzecz rozwoju turystyki górskiej. Miało tu miejsce kilka prekursorskich inicjatyw w skali kraju. Właśnie w Nowym Sączu powstała jeszcze w 1906 roku, pierwsza w Polsce Sekcja Narciarska. Tutaj też w 1914 roku ukazał się pierwszy przewodnik po Beskidach autorstwa prof. Kazimierza Sosnowskiego, na którym wychowały się całe pokolenia turystów. Tu wreszcie narodził się pomysł, aby przy znakowaniu szlaków, dla lepszej widoczności dodawać pasek biały do paska z podstawowym kolorem. Autorem tej myśli i pierwszym jej wykonawcą był również prof. Sosnowski w 1909 roku. Rozwinięciem tego pomysłu było dodawanie dwóch białych pasków do podstawowego koloru, a wprowadził go prof. Feliks Rapf w 1924 r.

Myśl utworzenia w Nowym Sączu organizacji turystycznej powstała w 1906 roku z inicjatywy Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. 11 kwietnia opublikowano odezwę do mieszkańców miasta i zawiązano Towarzystwo Turystyczne „Beskid”. Niedługo później, bo 24 maja, w sali Towarzystwa Kasynowego odbyło się I Walne Zebranie Towarzystwa. Na jego czele stanął hr. Fryderyk August Breza, wiceprzewodniczącym został Antoni Lenczowski, a sekretarzem Kazimierz Sosnowski. Rozpoczęto intensywną i owocną pracę na rzecz turystyki górskiej. Pierwsza wycieczka odbyła się 1 lipca z Piwnicznej do schronu myśliwskiego na Radziejowej, z zejściem przez Hałę Konieczną do Rytra. Znakowanie szlaków rozpoczęto od trasy z Piwnicznej przez Obidzę do Jaworek.

Utworzono sekcję wycieczek szkolnych. Prężność działań „Beskidu” spowodowała, że zarząd Towarzystwa Tatrzańskiego zaproponował mu przystąpienie do TT na prawach Oddziału. Formalnie nastąpiło to w lutym 1908 roku. Po śmierci hr. Brezy kolejnymi prezesami byli Michał Töpfer, a następnie Henryk Suchanek.

Wybuch I wojny światowej przerwał działalność „Beskidu” na pięć lat. Inicjatorem jej wznowienia był dr Bogusław Chrzan, który też został wybrany prezesem Oddziału PTT. Złotą erą w historii Oddziału jest okres prezesury prof. Feliksa Rapfa od 1924 roku. Funkcję tę pełnił przez 25 lat. Wielokrotnie wzrosła długość znakowanych szlaków turystycznych, powstały terenowe koła w Krynicy, Starym Sączu i Grybowie, rozwinęła się działalność wydawnicza. Koło w Krynicy uruchomiło schron na Runku, a Oddział schronisko „Na Piaskach” w Szczawnicy. Wreszcie sztandarowa inwestycja, czyli schronisko na Przehybie, oddane do użytku w 1937 roku.

Wybuch II wojny światowej zahamował działalność Beskidu a góry zostały przez okupanta zamknięte. Niestety, po drugiej wojnie światowej, działalność PTT przestała się mieścić w ramach nowych porządków. Z funkcji prezesa Oddziału zrezygnował prof. Rapf, a jego miejsce zajął Kazimierz Dagnan. Totalitarna władza komunistyczna nie tolerowała żadnych samorządnych, niezależnych od niej organizacji. Do wszystkich dziedzin życia na długie lata wtargnęła polityka. Systemowo zlikwidowano setki różnych organizacji, w tym tak zasłużone jak Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, YMCA, Związek Harcerstwa Polskiego, czy Akademię Umiejętności. Inne, o podobnym profilu działalności, łączono ze sobą w jedną, w celu łatwiejszego nimi sterowania.

Taki los spotkał też Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Decyzję tę władze państwowe, ściślej polityczne, podjęły na początku 1950 roku. Została ona sformułowana w dokumencie Rady Turystycznej z dnia 2 marca 1950 roku. Wykonanie jej dokonało się podczas Zjazdu Delegatów PTT odbytego w dniu 16 grudnia 1950 roku w Warszawie, gdzie podjęto wymuszoną uchwałę o treści:

- „a) z dniem dzisiejszym rozwiązać Polskie Towarzystwo Tatrzańskie,
- b) **cały majątek PTT łącznie z przejętym majątkiem Oddziałów przeznaczyć na rzecz nowopowstałego /podkreślenie autora / Polskiego Towarzystwa Turystyczno – Krajoznawczego”.**

Bezskuteczne próby reaktywowania Towarzystwa miały miejsce podczas przemian politycznych w naszym kraju w latach 1956 i 1957, a następnie w 1970 i 1971. Jednak dopiero sierpniowy zryw społeczeństwa w 1980 roku stworzył możli-

wość odtworzenia PTT. Ostatecznie Towarzystwo zostało reaktywowane 10 października 1981 roku.

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku, zawieszającego prawo do zrzeszania się, uniemożliwiło zaplanowaną na 17 grudnia rejestrację i spowodowało, że PTT działało w całym kraju nielegalnie lub półlegalnie, występując m.in. pod szyldami różnych organizacji, jak domy kultury, kluby turystyczne, Towarzystwo Ochrony Tatr itp. Kilkakrotne próby zalegalizowania działalności, podejmowane w różnych miastach, kończyły się odmową władz i udało się tego dokonać dopiero 8 grudnia 1988 roku w Katowicach.

Przygotowania do reaktywowania Oddziału „Beskid” Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zostały podjęte przez Macieja Zarembę jesienią 1981 roku. Przerwało je wprowadzenie przez komunistyczne władze stanu wojennego i dopiero zarejestrowanie Towarzystwa w grudniu 1988 roku oraz przyjęcie statutu na I Zjeździe Delegatów w Zakopanem w październiku 1989 roku, otworzyły drogę do ich ponowienia.

Zebrań założycielskie odbyło się 31 marca 1990 roku w sali konferencyjnej hotelu „Panorama” przy ul. Romanowskiego 4 i uczestniczył w nim prezes Zarządu Głównego PTT Maciej Mischke. Po przyjęciu porządku zabrania, Maciej Zaremba przypomniał historię i osiągnięcia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego oraz Oddziału w Nowym Sączu, a Maciej Mischke przedstawił informację o reaktywowaniu PTT oraz omówił jego statut. W wyniku dyskusji, obecni na zebraniu jednogłośnie podjęli uchwałę o reaktywowaniu Oddziału i przyjęli program działania. Omówiono także sprawy organizacyjne oraz wybrano władze. Prezesem został Maciej Zaremba (który sprawował tę funkcję przez 5 kadencji), wiceprezesami Stanisław Leśnik i Lech Traciłowski; sekretarzem Tadeusz Ogórek a skarbnikiem Waclaw Kowalewski. Uprowadzając późniejsze wydarzenia, w 2004 roku Maciej Zaremba otrzymał godność Prezesa Honorowego Oddziału, a prezesem urzędującym wybrano Wojciecha Lippę. Natomiast w 2007 roku funkcję tę objął Wojciech Szarota, pełniąc ją do dnia dzisiejszego.

Rozpoczęto intensywną i wszechstronną, trwającą do dzisiaj działalność. Nowosądecki „Beskid” szybko stał się największym i najprężniejszym oddziałem Towarzystwa w kraju. Wszystkie prace wykonywane są wyłącznie społecznie, bez pobierania wynagrodzenia. Ilość członków stale wzrasta i obecnie wynosi ponad 480 osób. Już na początku przyjęto hasło „Nasze miejsce jest w górach”. Zgodnie z nim, organizacja wycieczek górskich jest podstawową działalnością Oddziału. W latach 1990 – 2016 zorganizowano ich łącznie ponad 3300 a wzięło w nich udział ponad 73 tysiące osób. Odbywają się ona przede wszystkim w polskich górach, choć jest też sporo wyjazdów zagranicznych, w tym kilkunastodniowe wyprawy w Alpy, Pireneje, Apeniny, na Bałkany czy w Karpaty rumuńskie i ukraińskie. Od 9. lat bardzo aktywnie działa Klub Szalonych Emerytów, organizujący cotygodniowe, środowe wycieczki dla osób starszych. Od 12 lat trwa też współpraca z Sądeckim Uniwersytetem Trzeciego Wieku, dzięki której jego słuchacze mogą uczestniczyć w ciekawych imprezach górskich. W 1999 roku Oddział powołał Koło PTT

w Tarnobrzegu, które stało się najprężniejszym kołem w kraju. Comiesięczne wycieczki organizuje Szkolne Koło PTT w Łabowej. Bardzo aktywnie działają też od kilku lat Sekcja Biegowa i Sądecka Grupa Rowerowa PTT. Istnieją także Sekcja Wysokogórska i Sekcja Narciarska. Oddział dwukrotnie zorganizował kurs przewodników beskidzkich oraz pilotów wycieczek. Dzięki temu powstało Koło Przewodników PTT uczestniczące we wszystkich działaniach Oddziału. Od 1994 roku prowadzona jest akcja zdobywania Górskiej Odznaki Turystycznej PTT, mająca na celu propagowanie turystyki górskiej, szczególnie wśród młodzieży. Do tej pory przyznano ponad 500 odznak GOT różnych stopni. Oddział wyznakował też Nowosądeckie Szlaki Turystyczne PTT, przebiegające otaczającymi miasto wzgórzami o łącznej długości 52 km. Od 1990 roku wydawane jest pismo „Beskid”. Do tej pory ukazały się 72 numery. W ubiegłym roku została wydane monografia Oddziału z okazji 25 -lecia jego reaktywowania, a jej promocja miała miejsce 11 kwietnia w Feleczynie, gdzie zorganizowane były uroczystości jubileuszowe. Oddział też prowadzi największą w Nowym Sączu Bibliotekę Górską obejmującą ponad 6.900 pozycji. O szczegółach działalności Oddziału można się dowiedzieć z 29. tomów kronik, a także ze strony internetowej www.pttns.pl.

Obecnie działalnością Oddziału kieruje Wojciech Szarota, jego zastępcami są Władysław Łoboz i Zbigniew Smajdor, funkcję sekretarza pełni Grażyna Gałda a skarbnika Katarzyna Hejmej. Świętem Oddziału jest zawsze ostatnia niedziela czerwca, gdy uczestnicy pokonują szlak z Piwnicznej przez Radziejową i Halę Konieczną do Rytra, a więc historyczną trasę pierwszej wycieczki „Beskidu” z 1 lipca 1906 roku. W tym roku ta wycieczka miała miejsce 26 czerwca, z tradycyjną jajecznicą na Hali Koniecznej.

Maciej Zaremba

PS. Warto usystematyzować naszą wiedzę o wydarzeniach rocznicowych PTT. W ostatnich latach obchodziliśmy: w 2013 roku 140-lecie powstania PTT (1873-2013); w 2015 roku 25-lecie reaktywowania naszego sądeckiego Oddziału PTT, po 40 letniej przerwie spowodowanej rozwiązaniem PTT w 1950 roku przez komunistyczne władze; a w 2016 obchodziliśmy 110 rocznicę powstania Oddziału PTT „Beskid” w Nowym Sączu (1906-2016).

MD



Na Małym Rozsudcu - 2003 r. - fot. z kronik PTT

Wywiad z nowym Prezesem Zarządu Głównego PTT - Wojciechem Szarotą

Mamy nowego Prezesa! Dnia 11 - 12 czerwca 2016 r. odbył się jubileuszowy X Sprawozdawczo - Wyborczy Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w siedzibie Dyrekcji Tatrzańskiego Parku Narodowego w Zakopanem. W czasie dwudniowych obrad delegaci udzielili absolutorium ustępującemu Zarządowi /upłynęła jego 3 letnia kadencja/ oraz dokonali wyboru nowych władz. Zostały zgłoszone dwie kandydatury: Józef Haduch /dotychczasowy prezes/ oraz Wojciech Szarota. Wybrano w tajnym głosowaniu Wojciecha Szarotę, który szefuje sądeckiemu Oddziałowi już od 2007 roku. W skład Zarządu Głównego weszli także inni Sądectwianie: Jolanta Augustyńska powołana na stanowisko sekretarza oraz Władysław Łoboz i Paweł Myślik. Zbigniew Smajdor został członkiem Głównego Sądu Koleżeńskiego.



Zakopane-wybór nowego prezesa ZG PTT- fot. W. Łoboz



Zakopane - X Sprawozdawczo-Wyborczy Zjazd Delegatów PTT - fot. W. Łoboz

O trudach piastowania podwójnej funkcji, osiągnięciach i planach na przyszłość rozmawiam z nowym prezesem ZG:

MD. Funkcję Prezesa Oddziału PTT „Beskid” w Nowym Sączu pełnisz już 4 kadencję. Jakie zamierzenia udało Ci się zrealizować i jesteś z nich dumny?

W. Sz. Dumny jestem ze swoich wnuków, a w PTT udało się nam zrealizować kilka ciekawych zamierzeń, wypraw, wycieczek. Mówienie, że mnie się „coś udało” byłoby bardzo niesprawiedliwe, nasze osiągnięcia są zawsze wynikiem działań zbiorowych, wszystkich zaangażowanych osób współpracujących ze mną. Myślę, że spotkałem wielu życzliwych i mądrych ludzi, takich do tańca i do różańca. Razem trochę zdziałaliśmy i coś poprawiliśmy. Mam satysfakcję ze

zrealizowania naszych dwóch tablic ogłoszeniowych przy ul. Batorego i Alejach Wolności, Kursu Przewodników i Pilotów, powstania Kół Szkolnych w Łabowej i Szkole Podstawowej Nr. 18 w Nowym Sączu. Czuję satysfakcję z tego, że przewodnicy „naszego” kursu działają i mają się dobrze, pomimo wielu obaw i niepokojów. Cieszę się, że wszystkie działania nie są tylko hasłami, ale żyją uczestnikami i ich satysfakcją.

Cieszę się, że wielu ludziom zależy na naszej organizacji, prawie każdy chce coś wnieść od siebie. Oczywiście lista tego, co się nie udało zrobić pewnie jest równie długa, ale to nie miejsce abym narzekał i zrzędził, tylko kolejny raz spróbował się zmierzyć z problemami wspólnie ze znakomitą ekipą, która towarzyszy mi na dobre i złe. Zawsze zależało mi również na tych, którzy nie są może aktywni, ale mają wiele uwag do naszej działalności. Postaramy się uwzględnić ich postulaty i wprowadzić zmiany na lepsze.

MD. Podchodzisz bardzo emocjonalnie do dziedzictwa PTT, organizacji, która istnieje już ponad 140 lat. Niedawno, z okazji 110-lecia sądeckiego PTTK wystosowałeś do „Sądectwianina” list otwarty, w którym zarzuciłeś „bratniej organizacji” przywłaszczenie sobie prawa do tego jubileuszu /To PTT powstało w 1906 r, natomiast PTTK w 1950 r/. Jakie działania zmierzające do uregulowania wszystkich niejasności dotyczących spuścizny PTT zamierza podjąć nowy prezes?

W. Sz. Rzeczywiście mam do dziedzictwa PTT emocjonalny stosunek. Na początku wyjaśnię, że wywiadu udzielałem przez telefon, podczas komercyjnej wycieczki po Pradze, przez ok 30 sekund. Artykuł ukazał się w takim kształcie, który wzbudził niepotrzebne emocje. Nie to było moim zamiarem, ale teraz, jak to mówią „mleko się wylało”. Oczywiście o historii możemy dyskutować, ale nie na łamach pism czy poprzez udzielanie doraźnych oświadczeń. Musimy sięgnąć do rozmów i rzeczowych dyskusji. Nadmieniam, że mam ogromny szacunek do osiągnięć i sukcesów PTTK, jednak również my mamy własną tożsamość i dziedzictwo, którego musimy strzec, a z tradycji czerpać jak najwięcej. Wszelkie działania „zaszumiające” naszą odrębność i niezależność, muszą zostać sprostowane i wyjaśnione. Wydaje mi się, że na wielu polach moglibyśmy działać wspólnie z obopólnym szacunkiem i korzyścią. Przede wszystkim musimy robić swoje, to co umiemy najlepiej, musimy wzmacniać się jako organizacja, poszerzać ofertę, zwiększać naszą obecność nie tylko w mediach, ale przede wszystkim w górach, także w Tatrach. Tylko aktywność i obecność w górach pozwoli przełamać stereotypy i uprzedzenia. Zawsze wierzę w pozytywne działania, one same mówią za siebie. Ludzie chodzący po górach, kochający je, są wyczerpani na obłudę i kłamstwa, więc liczę na ich obiektywizm w poruszanych wyżej kwestiach.

MD. Dzięki PTT polskie Karpaty zostały zagospodarowane pod względem turystycznym. Działacze organizacji

wytyczali pierwsze szlaki, budowali schroniska, organizowali ratownictwo w górach. A jak jest dzisiaj, czy członkowie PTT mają wpływ na to co dzieje się w górach?

W. Sz. Wydaje mi się, że nasza organizacja, jest dla wielu podmiotów równorzędnym partnerem. Współdziałamy z Ministerstwem Turystyki, z TPN, Związkiem Podhalan, Parkami Narodowymi w Karpatach i Górach Świętokrzyskich, z Regionalnymi Dyrekcjami Ochrony Środowiska. To dzięki wnioskowi PTT stacje kolejki linowej na Kasprowy Wierch zostały wpisane do rejestru zabytków jeszcze przed ich prywatyzacją. Również obecnie współdziałamy z Gminą Zakopane w procesie odkupienia tej kolejki od obcego kapitału. Większość Oddziałów PTT włącza się czynnie w akcję „Sprzątnięcie gór”. Akcje te w niektórych rejonach są bardzo szeroko rozpowszechnione. Również ciągle mamy plany wyznaczania nowych szlaków, może nie tak strategicznych, ale równie ważnych np. „Szlak Św. Jakuba”, szlaki wokół Nowego Sącza i inne w okolicach Tarnowa, Mielca, Tarnobrzega. Inną sprawą jest jeszcze utrzymanie tych szlaków, ich odnowa, modernizacja, ale myślę, że i to się poprawi.

MD. W założeniach programowych na najbliższy rok i całą kadencję przewidziałeś działania sprzyjające zacieśnieniu współpracy pomiędzy oddziałami, ich ściślejszej integracji. Jakie wspólne imprezy o zasięgu ogólnopolskim planujesz?

W. Sz. To delikatna sprawa, ale myślę że do poprawienia. Każdy z Oddziałów ma swoje plany i wyjścia w góry. Dlaczego nie można byłoby tych wyjazdów zsynchronizować?. Oczywiście i tak wszyscy się nie zintegrują, ale poznanie się choć z widzenia będzie umożliwione. Poza tym wydaje mi się, że takie wspólne wyjazdy mają ogromny potencjał. Oczywiście zawsze musimy pamiętać o górach i o tym, że nie popieramy tzw. masowej turystyki. Myślałem tylko o możliwości poznawania się gdzieś w miejscach noclegowych, natomiast działania w górach już przeprowadzać powinniśmy osobno lub

przynajmniej w mniejszych grupach. Już pod koniec stycznia 2017 będzie taka możliwość w Górach Świętokrzyskich. Dalejsze plany zostaną tam określone. W grudniu 2017 zaplanowane jest ogólnopolskie spotkanie przewodników PTT w Beskidzie Śląskim. Małymi krokami w tym względzie osiągniemy więcej. W integracji nie chodzi mi o statystyki, tylko o rzeczywistą prawdziwą przyjaźń i sympatię w gronie PTT. Te spotkania na pewno każdego z nas będą inspirować do kolejnych i konkretnych działań, wszak zawsze można się nauczyć czegoś od drugiego człowieka.

MD. Jakie działania dotyczące pozyskiwania różnych źródeł finansowania działalności statutowej oraz promocji PTT i jej bieżących osiągnięć planujesz jako prezes ZG?

W. Sz. Każda działalność wiąże się z kosztami i muszą być na to środki. Ustawodawstwo mamy w tej sprawie pewnie bardzo dobre, ale organizacji i stowarzyszeń przybywa, więc rośnie konkurencja wśród beneficjentów państwowych i samorządowych funduszy. Dopóki nie załatwi się konkretów, ciężko myśleć o wymiernych korzyściach. Są oczywiście otwarte konkursy ofert, ale jak dotychczas omijają one naszą specyfikę organizacyjną. Finanse to sprawa dla każdego członka Zarządu bardzo ważna. Pewnie każdy prezes PTT stawał przed podobnymi problemami: jak pozyskać wystarczającą ilość środków na pokrycie różnych działań statutowych, takich chociażby jak prowadzenie działalności wychowawczej i popularyzatorskiej wśród młodzieży, znakowanie szlaków i ich okresową konserwację, działalność wydawniczą i marketingową. Przypomnę, że przed drugą wojną światową PTT otrzymywało duże subwencje finansowe na rozwój organizacji, jej infrastruktury, bazy noclegowej, do czasu oprostowania kolejki linowej na Kasprowy Wierch w 1935 roku. Później ceną niezależności i wierności swoim zasadom stała się stabilizacja finansowa PTT. W związku z przejściem naszego majątku przez PTTK, niejako nadal stoimy na nowej drodze rozwoju, ale w oparciu o zasady, które wynikają z naszej tradycji i gwarantują nie-



20.11. Zakończenie sezonu-Male Pieniny-fot. M. Przybylska

zależność. Obecnie istnieje wiele możliwości pozyskiwania środków z subwencji państwowych, ale prawie wszystkie ocierają się o politykę przez duże „P”. W samorządach jest już dużo lepiej w tym względzie i mogę ocenić, że współpraca z nimi przebiega coraz efektywniej. O konkretach na razie nie chciałbym mówić. W ramach promocji, planuję serię spotkań na terenach, gdzie PTT nie działa lub działa bardzo słabo, bo wszystko zależy od możliwości pozyskania ludzi i ich zjednania sobie. Na początek musimy się pokazać, opowiedzieć o naszej ofercie, zachęcić do działania. Wszelka nasza działalność musi się opierać na inicjatywach oddolnych, wspieranych działaniami ZG a nigdy odwrotnie. Ludzie ostrożnie podchodzą do przynależności, do działania. W wielu pośród nich istnieje podejrzenie „lewych interesów”, jakiś sztuczek socjotechnicznych. Musimy im najpierw odślonić swoje prawdziwe intencje i dążenia.

MD. Godzenie obowiązków rodzinnych, służbowych związanych z pracą na etacie oraz społecznych, wynikających z pełnienia funkcji podwójnego prezesa jest na pewno bardzo obciążające fizycznie i psychicznie. Jak dajesz radę pogodzić te wszystkie role?.

W. Sz. Różnie z tym bywa, zawsze ma się wyrzuty sumienia i tak naprawdę zawsze coś nie jest dograne, zaniedbane. Wydaje mi się, że trzeba liczyć na wyrozumiałość, choć z tym jest ciężko. To jest cena, którą pewnie każdy z działających czasami płaci, lub płaci ciągle. Nie jestem człowiekiem niezastąpionym, staram się o tym pamiętać. Staram się pamiętać co w życiu jest najważniejsze, chociaż pewnie niektórzy nawet w to nie wierzą. Zawsze powtarzam: rodzina jest najważniejsza. Chociaż moja rodzina wcale tak tego nie odbiera, ale powtarzam to każdej, każdemu z Was, że to jest podstawa!

MD. Jakie jeszcze przemyślenia, refleksje, prośby chciałby przekazać czytelnikom „Beskidu” prezes ZG PTT?

W. Sz. W życiu nie tylko pieniądze czy interesy są najważniejsze. Każdy kto chodzi po górach, uczy się pokory i poznawania samego siebie. A tzw. „działacz” nie kieruje się ekonomicznymi pobudkami. Ja traktuję swoją funkcję zadaniowo i mam nadzieję, że to powinno wystarczyć. Niejednokrotnie w rozmowach z ludźmi widzę to, co i mnie nakręca: to miłość do gór, która jest bardzo ważnym elementem obecnym w każdym członku PTT. Mnie zaprowadziła ona aż na fotel prezesa PTT Beskid i ZG PTT, choć jestem przekonany że działając bardziej egoistycznie spełniłbym się bardziej turystycznie, górsko, a wtedy Mont Blanc czy Korona Ziemi byłaby bardziej osiągalna? Zawsze byłem „opcją” rezerwową na tym stanowisku i z dużym dystansem podchodzę do tej funkcji. Za to widzę w wielu pośród was dużo lepszych prezesów, z lepszym potencjałem i możliwościami. Z wszelkimi wyborami jest jak z wyborem ścieżki na szczyt, są łatwiejsze i trudniejsze, są niebezpieczne lub bardzo niebezpieczne. Ja zawsze lubię jak nawet pozornie najstabsi tam docierają, a radość w ich oczach mimo zmęczenia jest bezcenna. Zapraszam na kolejne szczyty do zdobycia, chętnie powędruję z wami nie tylko jako przewodnik, ale też jako uczestnik.

Dziękujemy za to, że pomimo napiętego kalendarza, nasz prezes znalazł czas, aby podzielić się z nami informacjami o swoich planach i osobistymi refleksjami n/t postrzegania Organizacji i jej członków. Życzymy realizacji planów i obiecujemy, że pomożemy!

(MD)

Sprawozdanie z działalności Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział „BESKID” w Nowym Sączu za rok 2016

Był to 26 rok działalności Oddziału od jego reaktywowania w 1990 roku. Władze Oddziału pracowały w składzie wybranym podczas IX Walnego Zgromadzenia Sprawozdawczo – Wyborczego Członków, które odbyło się w dniu 8 kwietnia 2016 roku, skorygowanym uchwałą Nadzwyczajnego Zgromadzenia z dnia 4 listopada 2016 r.

Zarząd

Wojciech Szarota	Prezes
Maciej Zaremba	Prezes Honorowy
Władysław Łoboz	Wiceprezes
Katarzyna Hejmej	Wiceprezes p.o. sekretarza Skarbnik
Joanna Bogucka-Jurasovic	Webmaster
Grażyna Gałda	Członek
Joanna Król	Członek
Łukasz Musiał	Członek
Józef Orlita	Członek
Stanisław Pałka	Członek
Zbigniew Smajdor	Członek

Komisja Rewizyjna

Jacek Rodak	
Marzena Lachor	Przewodniczący Zastępca
Lucyna Migacz	Sekretarz
Wiesław Słyś	Członek
Agnieszka Sznajder	Członek

Sąd koleżeński

Paweł Myślik	Przewodniczący
Jolanta Augustyńska	Zastępca
Iwona Kowalczyk-Tudaj	Sekretarz
Jadwiga Dąbrowska	Członek
Jerzy Jabłoński	Członek

Siedziba Oddziału mieści się w Biorze Podróży, Waka-cyjny Raj” przy ul. Sobieskiego 14a/2, tel. 18-444-29-22.

Sprawy członkowskie

W 2016 roku do Oddziału wstąpiło 39 osób, z tego 27 w Nowym Sączu, 12 do Koła w Tarnobrzegu. Aktualny stan członków: 296 w Nowym Sączu, 128 w Kole w Tarnobrzegu,

16 w szkolnym Kole w Łabowej i 20 w SP 18 w Nowym Sączu. Łącznie Oddział liczy 460 członków.

Działalność wycieczkowa

Wycieczki górskie są podstawową działalnością Oddziału. W 2016 roku odbyło się 138 imprez, w których wzięło udział 5340 uczestników. Prowadziło je społecznie 15 przewodników: Wojciech Szarota 24, Paweł Groński 23, Musiał Łukasz 12, Joanna Król 14, Jerzy Gałda, Maciej Zaremba, Małgorzata Przybylska, Maria Dominik 6, Stanisław Pałka 4, Wiesław Wczesny, Adam Płaneta, Zbigniew Smajdor 3, Paweł Kiełbasa 2, Iwona Kowalczyk – Tudaj, Robert Biernacki 1.

Dojazd do gór odbywał się głównie wynajętymi autokarami turystycznymi. Dla uatrakcyjnienia imprez, podczas części z nich, głównie w okresie od jesieni do wiosny, odbywały się ogniska z pieczeniem kiełbasy. Przygotowywano też inne potrawy z kociołka lub patelni.

Afiszki informujące o imprezach organizowanych przez Oddział, opracowywane były przez Łukasza Musiała. Umieszczane były w gablotach i na tablicach PTT oraz w witrynach wystawowych w różnych punktach miasta, przez Józefa Orliłę. Afiszki te umieszczane są również na stronie internetowej Oddziału. Niektóre imprezy dofinansowywane są z Urzędu Miasta Nowego Sącza.

Wiele imprez, to tradycyjnie od lat znajdujące w kalendarzu Oddziału jak: przejście trasy na Radziejową co jest nieoficjalnym świętem Oddziału, 16-dniowa wyprawa do Gruzji i Armenii, powitanie Nowego roku na Jaworzynie Krynickiej na Mszy Ludzi Gór, Niedziela Palmowa w Lipnicy Murowanej, Wielkopiątkowa Droga do Krzyża na Mogielicę, góralska pastuska na Wiktorówkach, Pielgrzymka do Częstochowy, symboliczna impreza „Zakończenie Sezonu”, która miała miejsce w listopadzie w Jaworkach.

Koło Przewodników

Władze Koła działały w składzie wybranym podczas V Walnego Zebrania Członków Koła, które odbyło się w dniu 11 lutego 2014 roku.

Zarząd Koła Przewodników:

Łukasz Musiał	Prezes
Wojciech Lippa	Wiceprezes
Joanna Król	Wiceprezes
Marek Wojśław	Skarbnik (wiceprezes ds. ekonomicznych)
Małgorzata Przybylska	Sekretarz
Jerzy Gałda	Członek
Marta Treit	Członek

Komisja Rewizyjna:

Iwona Kowalczyk-Tudaj
Aleksander Jarek
Sławomir Kołsut

Koło liczy 26 członków.

Działania Koła w 2016 roku:

- odbyło się 12 comiesięcznych spotkań organizacyjnych o charakterze otwartym, w stałym terminie – w każdy drugi wtorek miesiąca,
- w dniu 14.01. wzięto udział we wspólnym przewodnickim sądecko-krynickim spotkaniu opłatkowym w Kamiannej,

- w 15 rocznicę złożenia ślubowania przewodnickiego, w dniu 14 lutego odbyło się tradycyjne wejście członków Koła „na krechę” na Radziejową,
- 18.02 podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Przewodnika Joanna Król została wyróżniona dyplomem marszałka województwa „Za Wkład w Rozwój i Promocję Turystyki w Małopolsce”.
- 20.02 odbyło się szkolenie dla przewodników w Babio-górskim Parku Narodowym
- w dniach 5-6.03. delegacja Koła wraz z poczem sztandarowym wzięła udział w XXXI Pielgrzymce Przewodników Turystycznych na Jasnej Górze,
- członkowie Koła uczestniczyli we wszystkich aspektach działalności Oddziału a przede wszystkim prowadzili społecznie wycieczki organizowane przez Oddział dla mieszkańców miasta oraz dla słuchaczy Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku,
- Członkowie Koła prowadzili wycieczki w sekcji rowerowej o nazwie Sądecka Grupa Rowerowa;
- 16.04. przewodnicy uczestniczyli w szkoleniu w Pienińskim Parku Narodowym .
- 07.05 członkowie koła byli na szkoleniu w Gorczańskim Parku Narodowym
- w dniach 11-12.06. członek naszego Koła został Prezesem ZG PTT
- 26.06. na Radziejowej odbyło się ślubowanie nowego kolegi przewodnika Pawła Grońskiego
- Ratujcie Sądeckie Nekropolie – jak co roku przewodnicy brali udział w zbiórce do puszek
- 05.11. przewodnicy odbyli kolejne szkolenie w Pienińskim Parku Narodowym
- 29.12. w Nowym Sączu odbyła się msza za żyjących i zmarłych przewodników i członków PTT.

Klub Szalonych Emerytów

Był to dziesiąty rok działalności grupy seniorów przy naszym Oddziale PTT pod nazwą Klub Szalonych Emerytów. W 2016 roku zorganizowano 50 wycieczek (56 dni wycieczkowych) w których wzięło udział 2133 uczestników. Wycieczki odbywały się w środy po Beskidzie Sądeckim, Pogórzach, Gorcach, Beskidzie Niskim, Pieninach, Tatrach Polskich , odwiedzano również 10- krotnie słowackie termy oraz wyruszono na 3-dniową wyprawę w Sudety i 4-dniową do Warszawy.

Głównym organizatorem wszystkich wycieczek jest od początków istnienia Klubu jest Barbara Michalik.

Imprezy dla SUTW

Kolejny rok trwała współpraca z Sądeckim Uniwersyte-tem Trzeciego Wieku. Odbyło się 6 imprez a wzięło w nich udział 156 osób. Wszystkie wycieczki zorganizował Wiesław Wczesny a prowadzili wspólnie z Maciejem Zarembą.

Szlaki turystyczne PTT

Propagowano „Nowosądeckie Szlaki Spacerowe PTT” otaczające miasto 52,5 km pierścieniem. Wśród uczestników imprez oraz za pośrednictwem biura PTT i Centrum Informacji Turystycznej, rozprowadzane były informatory z opisem i mapą tych szlaków. Przejścia nimi odbywały się m.in. pod-

czas imprez organizowanych przez Klub Szalonych Emerytów oraz dla słuchaczy Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Sekcja narciarska

Sekcja propaguje wędrówki na nartach biegowych, skiturowych i zjazdowych.

Najważniejszą imprezą był czterodniowy wyjazd do Czech w dniach 17 – 20 stycznia. Grupę zjazdową prowadził Robert Biernacki a biegową Paweł Kogut wspólnie z Sebastianem Ciesielką

Sądecka Grupa Rowerowa PTT

Powołana w 2011 roku Grupa Rowerowa kontynuowała swoją działalność. Odkryto się: 5 jednodniowych wycieczek, 4 dwudniowe, 1 czterodniowa oraz 42 wycieczek jednodniowych poza oficjalnym wykazem. Odbywały się one po Beskidzie Sądeckim, Gorcach, Beskidzie Niskim, Bieszczadach, Pogórzach, Wyżynie Śląskiej i Krakowsko-Częstochowskiej, Bieszczadach Słowackich oraz Rumunii. Na oficjalnych wycieczkach przewodnikami byli: Musiał Łukasz 6 razy, Małgorzata Przybylska 3 i Łukasz Mikulski 1. Łącznie udział w nich wzięło 229 uczestników. Grupa dysponuje od 2012 roku własną przyczepą rowerową.

Sekcja Biegowa PTT

Był to czwarty rok działalności Sekcji prowadzonej przez Jolanę Augustyńską.

Sekcja spotyka się na treningach w niemal każdy poniedziałek wieczorem (wyjątkiem jest okres dużego zanieczyszczenia powietrza). W 2016 roku członkowie sekcji wzięli udział w 17 oficjalnych biegach w Polsce i za granicą, począwszy od biegów krótkich po maratony i ultra maraton. Łącznie startowało w nich 90 osób. Sekcja, tak jak w roku poprzednim współorganizowała bieg charytatywny Run 4 a Smile.

Górskie Odznaki Turystyczne PTT

Komisja Oddziałowa GOT przyznała: Mała Brązowa Odznaka GOT PTT – 11, Mała Srebrna Odznaka GOT PTT – 12, Mała Złota Odznaka GOT PTT – 1, Duża Srebrna GOT PTT – 4, Ku Wierchom – 6, Korona Beskidów Polskich – 3, Korona Beskidów Słowackich - 2, Główny Szlak Beskidzki – 1, Mały Szlak Beskidzki -4, Turystyczna Korona Tatr 46 (30 brązowych, 11 srebrnych i 5 złotych), Główny Szlak Sudecki 2.

Działalność wydawnicza

W 2016 roku wydano jeden numer pisma „Beskid” redagowany przez Marię Dominik, w objętości 30 stron w nakładzie 600 egz. „Beskid” poświęcony jest górcom, turystyce górskiej, regionowi, ekologii oraz działalności PTT, a przede wszystkim Oddziału w Nowym Sączu. Pismo rozprowadzane jest bezpłatnie wśród uczestników imprez oraz wszystkich zainteresowanych przez biuro PTT oraz Centrum Informacji Turystycznej w Nowym Sączu. Ponadto otrzymuje je m.in. czytelnia Sądeckiej Biblioteki Publicznej. Trafia także do innych Oddziałów PTT. W związku z posiadaniem numeru ISSN, „Beskid” przekazywany jest również do ponad dwudziestu najważniejszych bibliotek w kraju. Skład i druk obydwu publikacji wykonała „Poligrafia Małopolska” Łukasza Gocka.

Inne działania

- Biblioteka Górską naszego Oddziału prowadzona jest Wiesława Wcześnego. Stan na koniec roku to 6 842 egz.
- ukazały się kolejne tomy Kroniki Oddziału prowadzone przez Krystynę i Zbigniewa Smajdorów,
- na bieżąco prowadzona jest przez Joannę Bogucką – Jurasovic strona internetowa Oddziału pod adresem www.pttns.pl. Posiada szereg działów a jej aktualizacja odbywa się nawet kilka razy w tygodniu. W roku 2016 zarejestrowano 29 213 wejść na stronę co daje średnią ok. 80 odwiedzin dziennie. Nowością jest „Biblioteczka” z opracowaniami z różnych dziedzin wiedzy związanych z turystyką autorstwa Wojciecha Szaroty, Krystyny Smajdor oraz Władysława Łoboza.
- o działalności Oddziału informuje lokalna prasa. Na portalu internetowym „Sądeczanin” ukazało się 48 artykułów oraz zdjęć.
- Marek i Marzena Limanówka zorganizowali slajdowisko z podróży drogą 66 po USA, a Henia Legutko pokazała Tango Argentynskie.
- Podczas obchodów Światowego Dnia Turystyki w Żegiestowie po raz siedemnasty Nowosądecka Izba Turystyczna nadała Sądeckie Laury Turystyczne. Dyplom otrzymał nasz Oddział „BESKID”.

Koło przy Zespole Szkolno – Gimnazjalnym w Łabowej

Był to czwarty rok działalności Koła, powstałego z inicjatywy Joanny Król.

Zarząd Koła działał w składzie:

Danuta Rolka	Prezes /opiekunka Koła/
Daria Kołacz	Wiceprezes
Wiktoria Smyda	Sekretarz
Julia Malec	Skarbnik

Organizatorką imprez była Joanna Król. Odbyło się ich 7 w których wzięło udział 369 dzieci. Funkcję przewodnika na wszystkich imprezach pełniła Joanna Król, przy pomocy Wojciecha Szaroty, Marii Dominik i Łukasza Musiała. Wycieczki odbywały się wspólnie z dziećmi ze Szkoły Podstawowej nr.18 z Nowego Sącza.

Koło liczy 16 członków. Wydaje własną gazetkę ścienną oraz ma miejsce na stronie internetowej szkoły.

Koło w Tarnobrzegu

Koło w Tarnobrzegu istnieje od kwietnia 1999 roku, jest największym ilościowo oraz najprężniej działającym Kołem PTT w kraju.

Zarząd Koła pracuje w następującym składzie:

Grzegorz Bien	Prezes
Zdzisław Zemła	Wiceprezes
Ryszard Kuczera	Sekretarz
Ludwik Szymański	Skarbnik
Aleksander Stybel	Członek

Siedziba Koła mieści się przy ul. św. Barbary 12/13, 39-400 Tarnobrzeg, woj. podkarpackie, tel. 698 803 200.

W 2016 roku odbyły się 39 imprez w tym: 24 jednodniowych i 15 dwudniowych i dłuższych, w których wzięło udział 765 osób.

Wycieczki prowadziło społecznie 17 przewodników: Stanisław Bochniewicz 19, Ludwik Szymański 7, Grze-

gorz Bień 6, Zdzisław Zemła 5, Jacek Morawski 4, Szczepan Zaliński 4, Sławomir Wychowaniak 4, Paulina Krzemińska 3, Barbara Reczek 3, Leszek Karkut 3, Małgorzata Jędrusik 3, Ryszard Kuczera 3, Krzysztof Bochniewicz 3, Piotr Rutkowski 2, Jacek Gospodarczyk 2, Konrad Maguder 2, o. Andrzej Bielat 1.

Dokonania sekcji i klubów PTT w 2016 r.

W roku 2016 odbyło się pięć imprez dla najmłodszych, z czego cztery to wycieczki jednodniowe i jedna dwudniowa.

Głównymi ich uczestnikami były dzieci ze Szkolnego Koła PTT w Łabowej oraz Koła przy Szkole Podstawowej nr 18 w Nowym Sączu. Górski plan zakładał przynajmniej jedną wycieczkę w każdym miesiącu (poza wakacjami), ale niestety nie udało się tego zrealizować ze względu na złe warunki pogodowe. Największą frekwencję miała wycieczka na Lubań, na który uczestnicy podzieleni na dwie grupy weszli z Grywałdu i Tylmanowej. Październikowa wycieczka w Pieniny cieszyła się największym zadowoleniem dzieci, głównie ze względu na to, że mogły spędzić dwa dni w górach i noc poza domem. Pensjonat w którym nocowaliśmy również dał powody do zadowolenia: pyszna obiadokolacja, obfite śniadanie oraz wieczorna dyskoteka. Należy również wspomnieć, że weekend 22-23 października był oknem pogodowym, a widoki towarzyszące naszej wędrówce na długo pozostaną w pamięci. Ostatnia wycieczka tego roku wiodła na Przechybę. Autobus i bus dowiózł uczestników na parking w Gaboniu. Stamtąd wyruszyliśmy w zimowej scenerii do schroniska. Na miejscu złożyliśmy sobie świąteczne życzenia i zjedliśmy tradycyjny barszcz czerwony z uszkami. W trakcie tej małej uroczystości sześcioro dzieci z Koła w Łabowej otrzymało odznakę „Ku Wierhom”. Podsumowując rok 2016 chciałabym podziękować Paniom Nauczycielkom za pracę w Szkolnych Kółach PTT oraz opiekę na naszych wycieczkach. Mam nadzieję, że w nadchodzącym nowym roku nasza współpraca zaowocuje ciekawymi pomysłami, których celem głównym jest propagowanie piękna gór i aktywnego spędzania wolnego czasu

Joanna Król

Sądecka Grupa Rowerowa, działająca przy Polskim Towarzystwie Tatrzańskim O/ Beskid w 2016 roku kontynuowała swój szósty rok działalności.

Oficjalnych wycieczek, ogłaszanych na stronie internetowej ptns.pl - było 10 (w tym kilkudniowe). Dni wycieczkowych uzbierało się aż 18, a wzięło w nich udział 127 osób. Byliśmy na Słowacji (4 dni w Tatrach, dwa razy w Lewockich Wierchach oraz pograniczem Słowacko - Polskim). Jednak najczęściej jeździliśmy po kraju, poznając kolejne piękne tereny, nie tylko Beskidów. Już szósty raz spędziliśmy dwa dni w Beskidzie Niskim. Często odwiedzaliśmy także Beskid Sądecki, Beskid Niski, Wyspawy, Pogórze Rożnowskie oraz Pieniny i Podhale. Kolejny raz wzięliśmy udział w Polsko-Słowackim Rajdzie Rowerowym. Głównymi przewodnikami oraz organizatorami tych wycieczek byli: Łukasz Mikulski, Łukasz Musiał, Jolanta Rachwał i Małgorzata Przybylska.

Wycieczek mniej oficjalnych było prawie 50 z udziałem łącznie kilkuset osób. Grupka cyklistów wybrała się nad morze, aby przejechać szlakiem Latarni Morskich, zahaczając o Niemcy. Spontanicznie zbieraliśmy się w środy i piątki późnym popołudniem i zwiedzaliśmy zakamarki najbliższe Nowemu Sączowi oraz sąsiednie Beskidy. Myślę, że nie ma już ścieżki w promieniu 20 km od Nowego Sącza, której byśmy nie przejechali. Głównymi osobami, które ciągnęły te wyjazdy byli Michał Zychowicz i Paweł Niemasik, za co im bardzo dziękuję.

Kolejny raz bardzo przydatna okazała się przyczepa rowerowa należąca do PTT oraz nieodzowna pomoc Roberta Biernackiego, który kolejny rok wspierał nas jako kierowca.

Dziękuję wszystkim za prowadzenie i uczestnictwo w wycieczkach oraz tym, którzy nas wspierają i pomagają.

Małgorzata Przybylska

W 2016 roku członkowie Sekcji Biegowej PTT O/Beskid podobnie jak w latach poprzednich uczestniczyli w biegach krajowych i zagranicznych, na dystansach od kilkuset metrów (dzieci) do ultra maratonów oraz współorganizowali dwie imprezy biegowe: I Bieg i Rajd Kurierów Sądeckich oraz „Run 4 a smile”.

I Bieg i Rajd Kurierów Sądeckich został zorganizowany przez Stowarzyszenie Visegrad Maraton Rytro, przy pomocy członków Sekcji Biegowej PTT w dniu 7 maja. Głównym celem imprezy było upamiętnienie bohaterskich kurierów, którzy z narażeniem życia działali w Beskidzie Sądeckim w czasie II wojny światowej. Członkowie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w głównej mierze wspomagali wydarzenie: jako przewodnicy (Maciek, Wojtek, Jurek) i organizatorzy (Małgosia B, Małgosia P, Iza, Jola R., Halinka, Arleta, Robert, Piotr, Grzegorz, Rysiek, Tomek, Łukasz, Piotruś), kilkoro wzięło udział w Rajdzie a kilkoro wystartowało w Biegu, w tym juniorzy: Adam, Kuba i Krzysiek. Najlepiej spisał się Piotr Połomski, który z 19 wynikiem uzyskał czas 01:20:50!

III Międzynarodowy Bieg Charytatywny „Run 4 a smile” („Bieg po uśmiech”), to druga impreza od początku wspomaganiana organizacyjnie przez członków PTT, a głównym organizatorem byli studenci Wyższej Szkoły Biznesu - National-Louis University w Nowym Sączu. Tak jak w latach poprzednich głównie wspomagano wydarzenie, państwo Limanówka sponsorowali je, zaś PTT O/Beskid w zawodach reprezentowali: Piotruś Ciesielka, Zosia Ciesielka (II m w swojej kategorii), Piotruś Augustyński, Martyna Limanówka (II m w swojej kategorii), Krzysztof Augustyński, Adam Szeliga, Jakub Dębniak, Maciej Augustyński, Dorota Kogut, Piotr Augustyński, Katarzyna Ciesielka i Sebastian Ciesielka.

Wśród innych imprez biegowych, w których udział braли członkowie Sekcji można wymienić: Charytatywny Bieg po dom - Berest 31-01-2016 (Sebastian Ciesielka, Dorota Kogut), Icebug Winter Trail 2016 - 13-02-2016 gmina Nowy Targ oraz Tropem Wilczym. Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych - 28.02.2016 r. (Dorota Kogut), 29 Belgrad Maraton 16.04.2016 r. (Sebastian Ciesielka, Piotr Augustyński, Robert Biernacki, Jan Polak i Jolanta Augustyńska), IV ORLEN Warsaw Marathon 2016 (Piotr Połomski - rekord życiowy w maratonie 03:16:21), PZU Cracovia Maraton 15-05-2016 (Piotr Połomski - poprawiony rekord życiowy 03:13:02, Robert Biernacki, Jolanta Augustyńska), Bieg „Zdroje Piwniczna” Wierchomla 21-05-2016 (Dorota Kogut, Piotr Połomski), XIII Bieg Rzeźnika 27 maja 2016 - ok. 82 km (bieg w parach Robert Biernacki i Łukasz Mikulski - 14:54:11 oraz Jolanta Augustyńska i Sabina Słowińska 13:57:20 - jedenaste miejsce wśród kobiet), Sądecka Dycha 25-09-2016 (Sebastian Ciesielka).

Jak co roku, członkowie sekcji najliczniej występowali podczas Festiwalu Biegowego w Krynicy 09-11-09-2016 (Sebastian Ciesielka, Adam Szeliga, Kuba Dębniak, Maciek, Krzysiek i Piotruś Augustyńscy, Robert Biernacki, Piotr Augustyński, Dorota Kogut, Wojciech Dąbrowa, Ryszard Beba).

Na zakończenie sezonu, 26 listopada 2016 odbył się XIII Maraton Komandosa, ukończyli go Robert Biernacki i Jolanta Augustyńska, która kończąc ten bieg ukończyła Wielki Szlem Lubliniecki, na który składają się Bieg Katorznika, Bieg o Nóż Komandosa i Maraton Komandosa.

Jolanta Augustyńska

Rok 2016 był dla Klubu Szalonych Emerytów działających w PTT Beskid O/Nowy Sącz wyjątkowy

Klub odbył 50 wycieczek, w których uczestniczyły 2133 osoby (w 2015 - 1769). Imprezy kilkudniowe to:

- 3-dniowy wyjazd w Sudety, gdzie zdobyliśmy Śnieżkę i Szczeliniec Wielki a jeden dzień poświęciliśmy na wyjazd do stolicy Czech - Pragi.
- 4-dniowa wycieczka do Warszawy (po drodze zobaczyliśmy Baranów Sandomierski, Sandomierz i Kazimierz nad Wisłą). W ciągu 3 dni w Warszawie zwiedziliśmy Wilanów, Kościół Opatrzności Bożej, Muzeum Powstania Warszawskiego, Stadion Narodowy, Grób bł. J. Popiełuszki na Żoliborzu, podziwialiśmy Warszawę z 30 piętra Pałacu Kultury i Nauki, zwiedziliśmy Zamek Królewski, Stare i Nowe Miasto, Barbakan, Krakowskie Przedmieście i Łazienki Królewskie, Pomnik Nieznanego Żołnierza i Ogród Saski, Powązki cywilne i wojskowe i szereg innych obiektów.

Imprezy krajoznawcze:

- Ziemia Kielecka: klasztor w Rytwianach, pałac w Kurozwękach, starówkę Szydłowa i sanktuarium bł. Karoliny Kózkówny w Zabawie.
- Tarnów
- Cmentarze z I wojny światowej na Ziemi Gorlickiej
- Wycieczki w Tatrach: Dolina Chochołowska na krokusy, Tatry słowackie - Solisko, Tatry słowackie - Koperszady, Czerwone Wierchy, Hala Gąsienicowa

Wycieczki w Beskidy: Makowski, Sądecki, Wyspawy, Niski - około 30 jednodniowych wyjazdów.

Wyjazdy na baseny termalne do Vrbova na Słowacji - dziesięciokrotnie

Łącznie na wycieczkach spędziliśmy 56 dni, wydając z własnej kieszeni 53 000 zł. Klub korzystał też z dotacji: 1500 zł do wycieczki w Sudety od PTT, oraz 4 000 zł dopłaciło do wyjazdu do Warszawy Społeczno-Kulturalne Towarzystwo Sądeczanin, w którym członkowie Klubu udzielali się społecznie.

Wszystkie wycieczki oprócz Warszawy, prowadzili społecznie nasi przewodnicy emeryci: Leszek Małota, Stanisław Pałka i Maria Dominik.

Wycieczki, to nie jedyna działalność Klubu, ale oczywiście najważniejsza. To na nich spędzamy przyjemnie czas, poznając uroki naszego regionu i kraju, realizując marzenie o wyjściu z domu w każdą stronę. Zapominamy o problemach, wędrując mozolnie po kilkanaście km, przeżywamy niezapomniane chwile przy ognisku i degustacji upieczonej kiełbaski oraz przyniesionych z domu specjałów i nalewek. Zupy z torebki, czy kawa na wodzie ze źródła z domieszką „paprochów” z ogniska smakuje naprawdę wybornie. Nasza grupa emerytów to w większości osoby w wieku 60+ dysponujące świetną kondycją wyrobioną podczas 15 lat wspólnego wędrowania. Należy dodać, że wędrujemy niezależnie od pogody, nigdy też nie rezygnujemy z obranej trasy i każdy uczestnik, czasem z opóźnieniem w stosunku do czołówki, ale dochodzi do celu.

Członkowie Klubu, lubią i umieją się bawić. Do historii przeszły huczne obchody imienin, czy cykliczne imprezy składkowe: „Ostatki”, Andrzejki, Sylwester i inne.

Klub Szalonych Emerytów zaangażował się także społecznie, biorąc udział w projektach prowadzonych przez Społeczno-Kulturalne Towarzystwo „Sądeczanin”:

- pomoc w organizacji „Dnia Sądeczanina”. Przepracowaliśmy 88 osobodni w ciągu trzech tygodni.
- Udział w akcji „Serce Sercu” polegającej na przygotowaniu paczek świątecznych dla najuboższych. W dniach 12-18 grudnia 2016 r. grupa dwunastu członków Klubu - często przy pomocy małżonków, własnymi samochodami zwoziła zbierane przez młodzież w sklepach: Intermarche, Biedronka i Hala Gorkowska artykuły spożywcze, które były następnie sortowane i pakowane w paczki. Łącznie w tej akcji uczestniczyło 26 „szalonych emerytów”, niektórzy pracowali po 2-3 dni. Przygotowali 750 paczek świątecznych.

W ramach programu Kulturalny Senior organizowanego przez Fundację Sursum Corda, 40 naszych seniorów uczestniczyło w wyjazdach do Krakowa /21 do Filharmonii, a 19 do Opery/

Wykupionych zostało też 40 karnetów do Kina Sokół w cenie 10 zł/szt, w ramach którego można było obejrzeć trzy filmy. Nie cieszyło się to jednak dużym zainteresowaniem.

W ramach wolontariatu 9 członków Klubu opiekowało się osobami samotnymi i starszymi.

Barbara Michalik

Nie lubimy wyciągów, ograniczeń tras zjazdowych i nudy ratrakowanych stoków. Kochamy wolność jaką dają narty

z wolną piętą. Do szczęścia wystarczą nam góry i śnieg.

Bardzo bym chciał moją pasję zawiązać z PTT, by ludzie mogli spróbować wypraw biegówkowych. Działam w Stowarzyszeniu Zimowy Beskid Wyspowy, które od lat organizuje „Drapy” oraz wycieczki na nartach śladowych.

W gwarze górali beskidzkich „drapa” znaczy tyle co: stromo i przez las. Zimą to słowo nabiera nowego znaczenia – DRAPA to impreza dla narciarzy przełajowych organizowana od pięciu lat. Na lekkich nartach śladowych typu backcountry zdobywamy szczyty Beskidu Wyspowego. DRAPA nawiązuje do przedwojennych rajdów narciarskich i najlepszej tradycji narciarstwa nordyckiego (z wolną piętą).

Drapa 2016 odbyła się 13 lutego, celem był Jasień; długość trasy 13 km; 429 m do góry

W styczniu i lutym było bardzo mało opadów śniegu, ale mieliśmy szczęście. Bez żadnych komplikacji w postaci kamieni czy istotnych niedostatków śniegu, udało nam się zrealizować plan. Jasień to wyjątkowo przyjemny zakątek Beskidu Wyspowego, a ponieważ po raz ostatni wspólnie gościliśmy tam w 2013 roku, odświeżyliśmy widoki. Drogi wejścia i zejścia były oczywiście odmienne względem poprzedniej wycieczki. I tak poznajemy Jasień z wielu stron. Wchodzimy z Łętowego („lasek miłości”) czarnym narciarskim szlakiem do zielonego pieszego, a następnie do bacówki na Polanie Skalne. Po ognisku ruszamy dalej grzbietem w kierunku Krzystonowa, a następnie czarnym narciarskim zjeżdżamy do Póhrzeczek, gdzie na pagórkach grzejemy się w słończku przed dotarciem do samochodów. Zajeżdżamy do Dobrej Chaty na premierowy żurek na domowym zakwasie i jabłecznik. Żegnamy się życzeniami długiej i śnieżnej zimy.

Do końca grudnia 2016, zorganizowaliśmy kilkanaście wypadów na biegówki, w tym wyjazd do Norwegii w kwietniu. Zapraszam zainteresowanych do odwiedzin naszej strony www.zimowybeskidwyspowy.pl

A z przyjaciółmi z PTT zorganizowałem zaraz po świętach 06.01.2016 wspólny wypad do Ptaszkowej na trening celem omówienia techniki jazdy i przećwiczenia jej elementów.

W dniach 17-20.01.2016 wyjechałem z PTT na narty do Czech w Beskid Śląsko – Morawski. Zasadnicza grupa, czyli zjazdowcy, szusowali po okolicznych stokach, natomiast znacznie mniejsza grupa entuzjastów biegówek, wędrowała przez cztery dni w okolicach ośrodka narciarskiego Bila i Pustevny. Zdobyliśmy górę Radhost 1129 m n.p.m, podziwiając nie tylko widoki, ale także przygotowanie tras dla biegaczy i ich długość. /relacja i zdjęcia w galerii na stronie: www.pttns.pl/

Do końca zimy 2015/2016 prawie co weekend a nawet w tygodniu robiłem wypad na biegówki z udziałem chętnych osób z PTT, podobnie było i jest w sezonie 2016-2017. Kilka osób wzięło udział w Drapie: Sebastian Ciesielka, Katarzyna Ciesielka, Piotr Połomski, Dorota Kogut, Adam Mitoraj.

Wszelkie planowane wycieczki i publikacje z wycieczek są ogłaszane na FB Sekcja biegówkowa i backcountrowa pod adresem:

<https://www.facebook.com/groups/946633318680064/>

Zapraszam wszystkich entuzjastów biegówek na wspólne wędrowanie!

Paweł Kogut

* Dokumentacja fotograficzna działalności sekcji, kół i klubów PTT znajduje się na wewnętrznej stronie okładki tylnej.

I Bieg i Rajd Kurierów

W 1994 roku otrzymałem od Pani Gabrieli Danielewicz recenzję wydanej w Gdańsku pracy Jerzego Kotlarskiego „Strzelcy Podhalańscy – AK. Oddziały partyzanckie w Sądeczynie i na Podhalu”. Znalazłem w niej ciekawą informację o swoistych zawodach rozgrywanych wśród kurierów Polski podziemnej, kursujących na Słowację i Węgry. Otóż wymyśli-

li rywalizację pomiędzy sobą, polegającą na jak najszybszym przejściu trasy z Rytra na Przehybę. Niewątpliwie zabawa ta stanowiła dla kurierów odprężenie w czasie ciężkiej i niebezpiecznej służby. Jerzy Kotlarski pisze: Do ciekawostek tamtych czasów należy wieloletni wyścig w marszu od stacji kolejowej Ryto do schroniska na Przehybie w warunkach bezśniego-



Start biegu - fot. arch. Visegrad Maraton Ryto



Na trasie - fot. Maciej Zaremba



Biegacze i organizatorzy na mecie - fot. Małgorzata Przybylska



Medale czekają - fot. arch. Visegrad Maraton Rytró

wych z normalnym obciążeniem marszowym, drogą przez Połom. Ta droga pozwalała na najszybsze dojście na Przehybę. W 1940 roku rekord tego marszu wynoszący 1 godzinę i 36 minut uzyskał Tadeusz Sokołowski – „Ogór”. Mimo licznych prób, rekord ten był nie do pobicia. W 1942 roku zespół Mieczysław Chrzanowski i Jerzy Kotlarski uzyskał największe przybliżenie, pokonując tę trasę w czasie 1 godziny i 42 minut. Wiosną 1943 roku zespół Mieczysław Chrzanowski, Zbigniew Kmieć i Adam Krzyształowicz uzyskał fantastyczny czas 1 godzina i 27 minut. Rekord „Ogóra” został pobity i taki pozostał do dzisiaj.

Informację tę zamieściłem w kwartalniku „Beskid”, z propozycją skierowaną do lubiących szybkie górskie marsze członków Towarzystwa, o zmierzenie się z osiągnięciami kurierów. Powtórzyłem ją też w 2006 roku, lecz wówczas bez efektu. I dopiero w ubiegłym roku, dwójce członków PTT Jolancie Augustyńskiej i Robertowi Biernackiemu, udało się doprowadzić do zrealizowania idei biegu. Nawiązali współpracę z Visegradem Maraton w Rytrze, specjalizującym się w organizacji tego rodzaju imprez. Pierwsza edycja odbyła się 7 maja 2016 roku i została poszerzona o pieszy rajd. Tak więc, przy pięknej słonecznej pogodzie najpierw wystartował rajd, gdzie 50 uczestników prowadzonych było przez przewodników PTT Jerzego Gałdę, Wojciecha Szarotę i Macieja Zarembę. Dwie godziny później, sygnał do startu 82 biegaczom dał wójt gminy w Rytrze Władysław Wnętrzak. Chyba wszyscy zadawali sobie pytanie, jak się będą miały wyniki dzisiejszych biegaczy do czasów osiągniętych przez kurierów ponad siedemdziesiąt lat temu. Rezultaty przeszły wszelkie oczekiwania. Wprawdzie

warunki były nieporównywalne, bo w czasie okupacji był to z założenia marsz, tylko ewentualnymi podbiegami, w cywilnych ubraniach, w ciężkich butach i to z plecakami, a obecnie to głównie bieg z częściowym podejściem stromizną pod Wietrzne Dziury, w adidasach i lekkich sportowych strojach, bez plecaków, ale wynik zwycięzcy Andrzeja Długosza z Piwnicznej czyli 59 minut 32 sekundy jest rewelacyjny. Wśród kobiet wygrała Izabela Zatorska z Wrocławki w świetnym czasie 1 godzina 16 minut i 15 sekund, co w klasyfikacji ogólnej dało jej 13 miejsce. Łącznie okupacyjny rekord pobiło 35 osób. Wszyscy uczestnicy otrzymali okolicznościowe medale i koszulki. Należy dodać że zwycięzcy to najściślejsza czołówka polskich biegaczy górskich i zawodnicy liczący się w Europie.

Na biegaczy czekał bigos w schronisku a na rajdowców grochówka oraz kielbasa z ogniska, ufundowane przez Bikershop. Następnie, w wypełnionej sali schroniska Leszek Zakrzewski prezes nowosądeckiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego wygłosił bardzo interesującą prelekcję, przybliżając zebranym historię szlaków turystycznych i kurierskich, historię odbywanych nimi kursów oraz sylwetki najwybitniejszych kurierów. Niespodzianką był udział w spotkaniu rodzin kurierów, Franciszka Dziedziny pseudonim Kuba z Piwnicznej oraz najślynniejszego z kurierów Romana Stramki z Nowego Sącza. Niestety, ze względu na stan zdrowia nie mógł przybyć 92. letni Jerzy Kotlarski, kronikarz lat wojny i ostatni z żyjących uczestników okupacyjnych zawodów a mieszkający obecnie w Sopocie. Następnie odbyła się dekoracja zwycięzców oraz wręczenie im nagród ufundowanych przez Regatta Polska. Potem odbyło się losowanie nagród wśród pozostałych biegaczy. Natomiast uczestnicy rajdu otrzymali pamiątkowe dyplomy. Powszechny podziw wzbudził niewidomy gimnazjalista z Płocka, który w dobrym tempie przeszedł całą trasę, wspomagany tylko ramieniem ojca. Na zakończenie, w schronisku została zamontowana skrzynka z zeszytem, gdzie każda osoba która pokona tę historyczną trasę będzie mogła wpisać osiągnięty czas. Impreza była perfekcyjnie zorganizowana przez Visegrad Maraton Rytró wspierany przez PTT Nowy Sącz a finansowo przez Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego.

II Bieg i Rajd Kurierów w tym roku odbędzie się 15 sierpnia. Zapraszamy do uczestnictwa lub kibicowania.

Maciej Zaremba



Przewodnicy na mecie Rajdu - fot. arch. Visegrad Maraton Rytró

Gruzja i Armenia 1-16 lipca 2016 roku

- podróż na pogranicze subkontynentów Eurazji

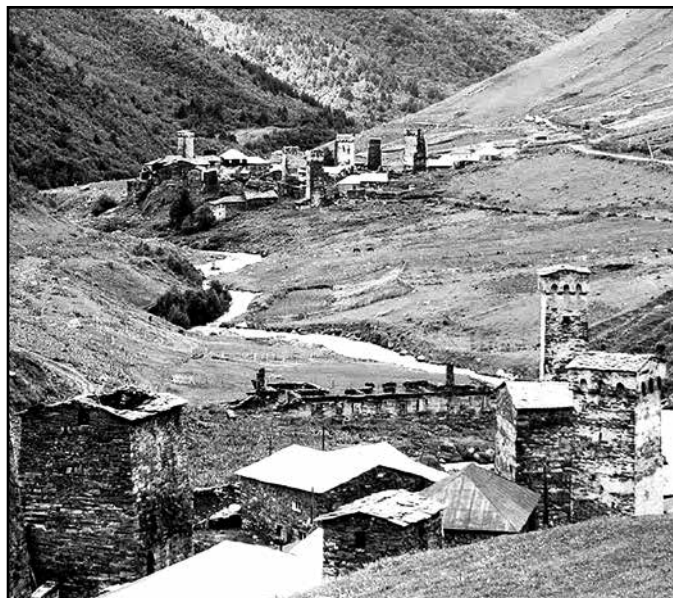
Wyprawa do Gruzji i Armenii była zaplanowana jako rezerwowa do wyjazdu w Alpy Kamnicko - Savińskie. Pomysł poddała Ania Książek na zimowych Bieszczadach w lutym roku ubiegłego. Na rezerwację lotu linii Wizzar, Katowice - Kutaisi zapisało się ostatecznie w krótkim czasie w B.T. „Wakacyjny Raj” 19 osób. Pod koniec lutego podjęliśmy decyzję o wyjeździe do nieznanego nam Gruzji i Armenii. Już na początku marca jeden z uczestników, Robert Orzeł zgłosił się do mnie, abym podałem mu dzienny program, gdyż podjął się załatwienia spraw związanych z rezerwacją noclegów. Dwa dni po tym jak podałem mu naszą „marszrutkę wyprawową”, Robert zarezerwował wszystkie noclegi (prawie) płacąc ze swojego konta wymagane zaliczki. Pierwszy nocleg wypadł w pensjonacie „Nino” w Mestii położonej w centrum Swanetii, regionu do niedawna jeszcze (2005) opanowanego przez mafie. Kolejny nocleg załatwił w Tbilisi, następne w Erywanii a ostatni w Kutaisi. Mając już bazę noclegową, można było precyzyjnie zaplanować wyprawę. Gruzja i Armenia to niewielkie kraje, ale czternaście dni to trochę za mało na ich poznanie. Polskie Towarzystwo Tatrzzańskie zainteresowane jest górami, więc w pierwszej kolejności pomyśleliśmy o tym, co z gór możemy zwiedzić, gdzie wejść. Ta analiza wykluczyła zdobywanie popularnego w Gruzji Kazbeka z powodu tego, że na wejście potrzeba zarezerwować minimum 3 dni, a oba kraje, dla nas egzotyczne, mają oprócz gór jeszcze tak wiele do zaoferowania! Gruzja to kraj położony w Kaukazie Południowym, w lądowym przesmyku łączącym Europę z Azją pomiędzy Morzem Czarnym i Kaspijskim. Z Katowic z lotniska w Pyrzowicach do Gruzji w linii prostej jest około 1400 km. Armenia to południowy sąsiad Gruzji, graniczący z nią w większości poprzez góry Małego Kaukazu na długości 164 km. Kulturowo obydwa kraje zaliczamy do cywilizacji zachodnioeuropejskiej, i taką świadomość mają ich mieszkańcy. Do dnia dzisiejszego geografowie i politycy spierają się do którego kontynentu zaliczamy Gruzję. Pod względem przyrodniczym, środowiskowym Azja i Europa to jeden kontynent Eurazja. To kultura, historia ukształtowały właśnie na tych terenach granicę subkontynentów. Nadal dyskutowane są spierające się koncepcje wyznaczające umowną granicę Azji i Europy. Polscy geografowie uznają tę ustaloną przez Międzynarodową Unie Geograficzną. Według niej Europa kończy się ok 300 km na północ od głównego grzbieta Kaukazu Wysokiego. Według tego, Gruzja formalnie położona jest w Azji. Ale jeżeli ta granica przebiegałaby głównym grzbietem Kaukazu, to wtedy niektóre gruzińskie regiony znalazłyby się w Europie. To dlatego do Korony Ziemi zdobywcy włączają Elbrus (5642 m n.p.m) najwyższy szczyt Kaukazu, położony ok 20 km na północ od granicy Gruzjińskiej i naszej Mestii

w której spędzimy trzy noce. Pomimo podziałów i Gruzini i Armeńczycy nie mają wątpliwości, że są Europejczykami. Ale powróćmy do naszej wyprawy, aby zachować chronologię. Po zapłaceniu biletów lotniczych /tam i z powrotem to 1604 zł/ os/ mieliśmy już tylko 5 dni na ewentualną zmianę uczestnika bez ponoszenia dodatkowej opłaty. Na cztery dni przed wyjazdem jedna osoba z powodu poważnej kontuzji rezygnuje z wyjazdu. Nikt nie znalazł się na jej miejsce, wyjeżdżamy więc z Nowego Sącza do Pyrzowic w liczbie 18 śmiałków. Mamy załatwione w miarę dostępne cenowo noclegi i transport do Mestii. Robert Orzeł załatwił z właścicielką pensjonatu „Nino”, że na lotnisku w Kutaisi ok godz. 5:30 będzie czekał na nas transport. Po trzygodzinnym locie, bezpiecznie lądujemy na nowym lotnisku w Kutaisi. Po odprawie zaraz podjeżdżają dwa busy ze Swanetii, do których pakujemy siebie i nasze około 22 - kilogramowe bagaże.

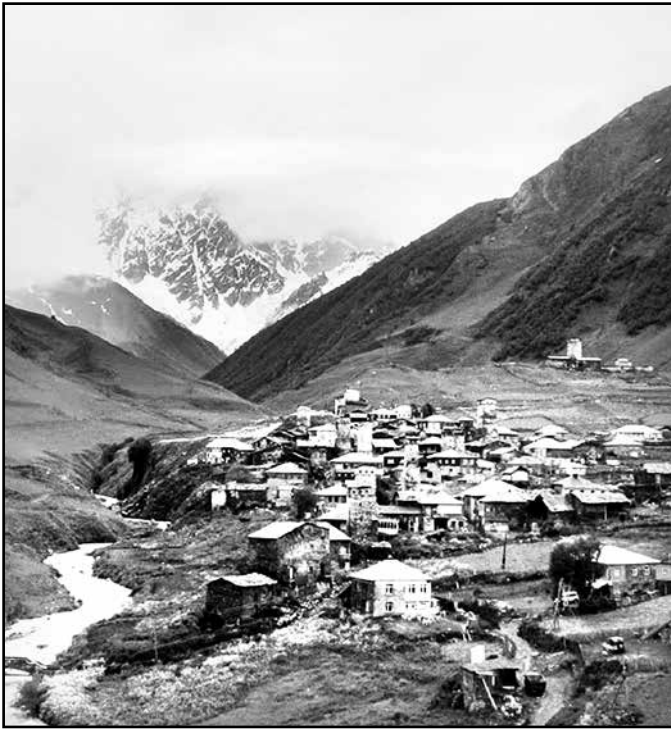
W północno - zachodniej części Gruzji, pośród najwyższych szczytów Kaukazu u podnóża Uszby (5068 m. n.p.m.) najwyższego szczytu Gruzji, leży Swanetia z jej największą miejscowością Mestia. To region znany z zapierających dech krajobrazów, nieskazitelnej przyrody, unikalnego swobodnego folkloru i wielu skarbów kultury. Region ten zamieszkują Swanetczycy posługujący się swoistą gwarą, wyraźnie odbiegającą od języka gruzińskiego. Położenie geograficzne, warunki środowiskowe, zahartowały tych górali na waleczny lud żyjący w górach w starych kamiennych basztach. Niektóre z nich powstały w XII - XIII wieku. W Swanetii po rewolucji zwanej „Rewolucją róż” odradza się turystyka. Jak opowiadała nam później właścicielka pensjonatu, prezydent Saakaszwili a właściwie jego gwardziści wylądowali kilkoma śmigłowcami w Mestii i w akcji trwającej 30 min „zlikwidowali” mafie swanecką rządzącą całą Gruzją, zabijając jej przywódców. Po tej akcji, udało się zaraz przywrócić kontrolę władz centralnych nad miastem i regionem. Nasze busy mknęły wczesnym rankiem niczym samochody rajdowe w stronę Zugdidi miasta położonego w zachodniej części Gruzji. Fantazja i obojętność kierowców na innych uczestników ruchu drogowego, którymi jak się okazało w Gruzji są również krowy, wywołała nasz początkowy niepokój, szybko zastąpiony zubożeniem. W Zugdidi, po emocjonującym rajdzie drogą szybkiego ruchu w remoncie, kierowcy zawożą nas pod Pałac Dadiani położony nad miastem, gdzie wyskakujemy jak wycieczka japońska z aparatami fotograficznymi i fotografujemy co tylko można, głodni „reportażowania”. W czasie wojny w Osetii Południowej w sierpniu 2008 r. miasto zostało zajęte przez wojska rosyjskie. Dalej przełomową doliną rzeki Ujgurii jedziemy do Mestii. Gruzja i Armenia to kraje, w których literatura miała jesz-

cze większy wpływ na budowanie świadomości narodowej niż w Polsce. Utwory „ku pokrzepieniu serc” nadal mają ogromny wpływ na morale jednostki. To swoiste „Jeszcze Polska nie zginęła...” tylko o zdwojonej sile i wydźwięku. Średniowieczny epos Szoty Rustawelego „Witeź w tygryskiej skórze” napisany 16 - zgłoskowcem, to piękna i mądra opowieść o miłości, przyjaźni i szlachetnej odwadze bohaterów Tariela i Awtandila w walce o uwolnienie pięknej królowej Nestan-Daredżan. „*Kto przyjaciela nie szuka, ten sam dla siebie jest wrogiem*”; czy: „*Hojnością z wrogów bez trudu przyjaciół czyni się własnych...*”. To tylko dwa małe cytaty w tłumaczeniu na język polski przez Jerzego Zagórskiego, przedstawiające mądrości tego arcydzieła literatury gruzińskiej. Gruzini traktują Polaków z hojnością i szacunkiem wobec podobnej historii walki o przetrwanie i tożsamość. Podobnie jest z chrześcijaństwem, które Gruzja przyjęła od mniszki z Kapadocji św. Nino w roku 330 n.e. Św. Nino niosła ze sobą Krzyż przewiązany własnymi włosami. Do dnia dzisiejszego tak przedstawiany jest krzyż Kościoła gruzińskiego. Nasza gospodyni w Mestii również ma na imię Nino, jest pogodną i postawna kobietą. Kwateruje nas prawie wszystkich w nowszej wersji pensjonatu odgradzonego od ulicy kuto-spa-wanym płotem. W dzień przyjazdu musimy załatwić jeszcze wymianę waluty na gruzińskie Lari w pobliskim banku, choćby po to, aby zapłacić za transport do Mestii. Później zwiedzamy i poznajemy miasto pełne kontrastów, gdzie podobnie jak w całej Gruzji nowoczesność postmodernistyczna kontrastuje z budowlami XII-XIII wiecznymi i budowlami realnego socjalizmu. Spotykamy wielu pasażerów naszego lotu z Katowic, są to uczestnicy wielu turów z Polski do Gruzji, grupy 7-8 osobowe z przewodnikami. Od naszego przylotu panuje dość duszny klimat, choć w samej Mestii już jest nieco chłodniej. W kolejny dzień zaplanowaliśmy wejście na Górę Krzyżową, skąd jeszcze kawałek do Jeziora Koruld na wysokości około 3000 m n.p.m. Wyruszamy zaraz po śniadaniu na górę, która doskonale widoczna jest z naszego tarasu. Omijając liczne wieże obronne, wydostajemy się z miasteczka wspinając się na morena boczną ogromnej doliny polodowcowej. Krzyż doskonale widzieliśmy z miasteczka, jednak potrzeba 2 godzin aby tam dotrzeć. Jest słonecznie, ale parno, a chmury zasłoniły góry od ok 2500 m n.p.m. Szybko przetasowaliśmy się na kilka grup o różnym tempie marszu. Właściwie ci najbardziej napaleni, choć weszli najwyżej (na około 3 tys. m), nie zauważyli nadchodzącej burzy i za późno rozpoczęli powrót. To ich najbardziej zmoczył gęsty ciepły deszcz. Moja grupa wybiera inny wariant zejścia (bardziej stromy), ale za to osłonięty gęstym młodym liściastym lasem. Opłotki miasteczka nieco nas rozproszyły, prawie każdy osobnymi, rozmoczonymi uliczkami dociera do Mestii. Po zejściu do miasteczka ciągle spotykamy Polaków z samolotu. Najpierw poszukujemy miejsca, aby spróbować miejscowej kuchni, coś się napić. Jest dość ciężko z tym, prawie wszystkie miejsca pozajmowane, a w centrum ogromna ekipa filmowców z Bolywood kręci fragment filmu. Wszędzie indyjskie ciemne twarze, również w kawiarniach i restauracjach, choć widać, że zaopatrzeni byli we własny catering. Pomimo tego spotykamy się prawie wszyscy w ogródku restauracji niedaleko ekipy filmowej i bazaru. Miłe i wesołe wspomnienia i wraże-

nia kończą udany dzień. Jeszcze zakupy pamiątek na bazarze, w sklepach i powrót na kwaterę, gdzie centrum towarzyskie mieści się pod zadaszonym tarasem, obok którego ja zamieszkuję. Na tarasie planujemy kolejny dzień i oczywiście wymieniamy wrażenia, rozmawiamy z Rosjanami (niechętni do rozmów) i z Katalończykiem „sense separatista” bo tak się przedstawia, który przebywa w pensjonacie „Nino” jako wolontariusz z Wyższej Szkoły Turystyki z Barcelony. Mamy dużo tematów do rozmów, ponieważ wiele zainteresowań nas łączy. Pokazuje swoje zdjęcia z Pedraforci, na której i my rok wcześniej byliśmy na wyprawie PTT. Planujemy następny dzień, jedziemy do Uszguli najwyżej położonej wsi w Gruzji, transportem zamówionym przez Nino. Rano jak zawsze rytuał ze śniadaniem w stylowej stołówce położonej w piwnicach. Dań do wyboru kilka, proste ale smaczne i świeże, a w dodatku w ilości nieograniczonej. Mąka, mleko, kasze, jajecznicza smakują jak u nas 40 lat temu. W Gruzji koniecznie trzeba spróbować dwóch potraw: placków chaczapuri w przeróżnych wersjach ze słonym serem, oraz pierogów - sakiewek chinkali. Chociaż akurat chinkali w Swaneti nie było popularne. Oczywiście także chleba pieczonego w piecach w kształcie beczek. Również przypraw na czele z solą swanecką i ajdiką. Wina gruzińskie to osobny temat, ciemnoczerwone, mocno taninowe o bogatych smakach. Gruzja prawdopodobnie jest ojczyzną - kolebką wina, to w Kolchidzie wyrabiano najwspanialsze gatunki dla starożytnej Grecji. Wszędzie przy drogach, do dziś można kupić ogromne dzbany na wina ze szpiczastym dnem, które zakopuje się w ziemi, takie jakich używano w Palestynie w czasach Chrystusa, czy w starożytnej Grecji. Wśród napojów Polacy mają do wyboru kilka dobrej jakości piw. Po śniadaniu u Nino, bus o dziwo nie z napędem na 4 koła / podobno już taki napęd nie jest wymagany/, podwozi nas betonową drogą na przełęcz oddzielającą Mestię od doliny rzeki Ujguri. Później było nieco ekstremalnie, zwłaszcza, że jechałem na tzw. kole od strony potoku, a droga miejscami była na szerokość busa. Po przyjeździe do Uszguli, w pogodzie nieco deszczowej wyruszamy w czasy średniowiecznych baszt i busujących stad szczęśliwych krępych świń i drobnych kóz.



Baszty mieszkalne w Gruzji - fot. T. Pęski



Uszgula - fot. T. Pęski

Widzimy tylko jedną Toyotę z napędem na 4 koła, a tak poza tym pustki. Zagłębiając się w błotniste uliczki, wspinając się stromo pod letnią rezydencję Królowej Tamar. Ta XII wieczna królowa odprawiła syna rosyjskiego cara, jej pierwszego męża, ponieważ był pijakiem i hulaką. Drugi raz wyszła za mąż z miłości, ale rządziła jako król nie oddając mężczyźnie władzy. To dla niej Szota Rustaweli napisał „Witezia w tygrysiej skórze” będąc nieszczęśliwie i platonicznie w niej zakochany. Mnie zaprasza Swanetczyk do swojego domu „muzeum” - wchodzę, widzę, że wejście kosztuje 5 Lari. Daję 10, a Swanetczyk chucha na banknot i chowa do kieszeni z uśmiechem, mnie też to nieco rozśmieszyło. Wnętrze zaskoczyło mnie oryginalną autentycznością: fryzami, kasetonami, kilimami, wypreparowanymi zwierzętami. Wewnątrz również wiele eksponatów alpinistycznych: dziewiętnastowieczne pierwowzory raków, czekany. Dziadek i pradziadek właściciela parali się przewodnictwem po górach, no i myślistwem. Rozpoczynając powrót zauważamy, że zakończenie drogi przed mostkiem jest już ciasno upakowane wieloma pojazdami, przeważnie z napędem na cztery koła. Wśród pojazdów tłumy turystów z Europy, Iranu, Turcji. Nagle poczuliśmy się nieco przytłoczeni zgęszczeniem turystycznym, pewnego rodzaju komercją rodzącego się przemysłu turystycznego. Pewnie niedługo powstaną nowe budynki naśladujące stare budowle, aby gościć i podejmować większe rzesze turystów. Powracamy na nocleg, przy poprawiającej się pogodzie. Wieczorem znowu spacer po centrum miejscowości, wsłuchiwanie się w klimaty gruzińskie, ich odmiany i barwność. Potem kolacja i wesoła „supra” w wykonaniu Polaków, bo w Gruzji supra nazywają uroczystą kolacją, na której wznoszone są liczne toasty. U nas toastów nie zabrakło, chociaż dość szybko zawitaliśmy na nasz taras, gdzie nadal próbowaliśmy miejscową „czaczę” czyli miejscowy domowy destylat. Są z nami rowerzyści: Włoch, Holender i Belg, którzy oszczędzając gotówkę, bo są już od miesiąca

w drodze, przygotowują proste dania na kuchence gazowej. Napić się po ciężkiej trasie w międzynarodowym towarzystwie oczywiście chcą, byli bardzo weseli i szczęśliwi. Robert konwersuje z nimi po angielsku, tłumacząc ich dowcipy i wybuchając co rusz śmiechem. Następnego rana płacę za pobyt w pensjonacie, rachunek wydaje się nieco zawyżony w stosunku do założeń, ale dajemy radę, wystarczy jeszcze na transport do Tbilisi i prawie na nocleg w nim. Nino załatwiła nam busa, którego kierowca prosi o zapłatę z góry, ponieważ nie ma na paliwo. Po zatankowaniu, wszyscy słyszymy szumiące łożysko tylnego koła, awaria!. Podjechaliśmy do kolejnej miejscowości w oczekiwaniu na „podmianę”. Pogoda i widoki rekompensują niezaplanowaną przerwę, wreszcie widać góry Kaukaz w całej okazałości. Dolina Ujguri jest malownicza, chociaż droga częścię biegnie cienistym i zalesionym kanionem. Zatrzymujemy się przy ogromnej zaporze położonej na granicy Gruzji i Osetii Południowej, zapora jest wspólna, specjalna umowa reguluje podział energii i kosztów. Widać przejście graniczne i pełno umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy. Później mkniemy dość szybko lepszymi drogami, widać, że naszemu kierowcy spieszy się bardzo. Zatrzymujemy się gdzieś w połowie drogi w przydrożnym zajeździe. Czas na wyprostowanie kości, toaletę i jakiś poczęstunek. Ja wybieram sobie jarzynowy gulasz z wątróbki. Potrawa odpowiednio ostra i wyrazista, inni uczestnicy zamawiają to samo. Późnym popołudniem dojeżdżamy do Tbilisi, miasta położonego nad Kurą i szukamy ulicy Mickiewicza. Kwaterujemy się w starym budynku tkwiącym niczym ostaniec pośród nowych, na dość szerokiej ulicy. Gorsze warunki bytowania rekompensuje urokliwy ogródek w starym stylu ze stolikiem i ławeczkami. Naprzeciwko mamy dwa całodobowe sklepy. Zaspiane panie ekspedientki powoli obsługują klientów. Ceny nieco wyższe niż w Polsce. Jedziemy metrem na dworzec zakupić bilety do Erywanii. Dworzec kolejowy przypomina Dworzec Centralny w Warszawie z lat 90-tych. Wjeżdżamy na 3 jego piętro, gdzie są kasy biletowe. Zbieram wymaganą kwotę i zbiegam po schodach na dół w poszukiwaniu kantoru. Towarzyszy mi Tadeusz Pęski, którego poprosiłem o pomoc w celu weryfikacji ewentualnych błędów. Kantor znajdujemy szybko, ale gdy podajemy kwotę wymiany, cena dość znacznie wzrasta. Po prostu obrócili tabliczkę z kursem wymiany. Tadek pierwszy zaczyna protestować, ale dopiero po naszej wymianie zdań po polsku, właściciel kantoru pyta: „wy Polacy?” Tak Polacy, odpowiadamy zdenerwowani; - „a dla Polaków jest zawsze dobra cena” i obraca z powrotem tabliczkę z kursami. Wydając pieniądze liczymy je, Tadek jeszcze raz sprawdza i mówi, że brakuje 180 Lari! Kantorewicz chytrze uśmiecha się i z lewej ręki wydaje dokładnie brakującą resztę podnosząc z uśmiechem na pożegnanie drugą. Po zakupieniu biletów, schodzimy na najniższy poziom i tam zaczepie nas Gruzin: czy transportu-taksówki nie potrzebujemy? Odpowiadamy chórem, po rosyjsku, że tak, ale na jutro do Kazbegi! Załatwiony mamy transport na jutro i pojutrze. Kolejnego dnia o ósmej wyruszamy do Kazbegi - Stepancymindy w regionie Mccheta - Mtianetia. To przygraniczna wioska o charakterze miejskim położona na tzw. Drodze Wojennej. Jest to najpopularniejsza droga w poprzek Kaukazu o długości

208 km z Tbilisi do Władykaukazu w Osetii Północnej. Najwyższym jej punktem jest Przełęcz Krzyżowa o wysokości 2379 m n.p.m. To Rosjanie zmodernizowali ją w dziewiętnastym wieku, aby mogła pełnić rolę militarną. Obecnie stanowi ona dużą atrakcję turystyczną. Natomiast Stepancyminda to najpopularniejsze miejsce do trekkingu na Kazbeg. Kazbek to dla Gruzinów Mkinwarweri, „zamarznięty szczyt”. Nasza grupa porzuciła zamiar zdobywania szczytu, ale musieliśmy się tam pojawić, aby zobaczyć jedno z najpiękniejszych miejsc. Każdy, kto cokolwiek czytał o Gruzji, zawsze spotyka się z fotografią Kościoła Cmindy Sameba (Świętej Trójcy), na tle stożkowatego Kazbega lub doliny rzeki Terek i pięknych zielonych hal. Ruchliwi i pełni turystów centrum gdzie zatrzymują się busy, właściwie nic nam nie mówi, a że chmury przysłaniają góry, nawet nie zauważamy na początku, gdzie mamy się kierować. Nachalni kierowcy pojazdów z napędem na 4 koła zachęcają: 20 euro do Cmindy Sameby. Łapiemy orientację i powoli wyruszamy pieszo w stronę hali z Kościołem. Jest parno i raczej słaba widoczność. Idąc, co rusz usuwamy się pojazdom z pełną obsadą pasażerską, aż zauważamy ścieżkę skracającą liczne zakręty drogi. Stromość ścieżki jest dość znaczna, co da się we znaki na powrocie. Powoli, każdy z nas, w niecałą godzinę dociera do klasztoru prawosławnego. W klasztorze jest czas na zwiedzanie i fotografowanie, choć widoki i warunki nie są takie jak na znanych fotografiach. Wracając do busa zatrzymujemy się na przedmieściach Kazbegi przy przydrożnym barze z rozłożonymi meblami z palet.



Specamindzie pod Kazbekiem- fot. W.Szarota

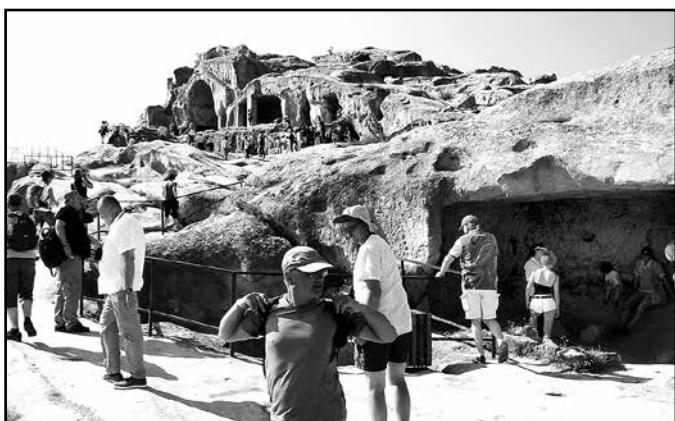
Zamawiamy piwo i kebabsy, gra muzyka gruzińska. Właśnie wtedy, tańcząca w rytm tej muzyki, nasza uczestniczka przewraca się niegroźnie i łamie rękę w przedramieniu, co dopiero okaże się za parę godzin. Powracamy szybko i sprawnie, załatwiony transport rzeczywiście jest super wygodny, z klimatyzacją, nagłośnieniem Pionera, oświetleniem ledowym. Tylko kierowcy wydają się nieco arogantcy, ale możliwe że tak mają w zwyczaju. Po drodze odwiedziliśmy jeszcze twierdzę Anauri położoną obecnie nad zbiornikiem na rzece Argawi. Budowla ta datuje się na XVI-XVII wiek. Jej właścicielami była rodzina Argawi panująca na tych terenach już w wieku XIII. Otoczona jest potężnym murem obronnym. Wewnątrz znajduje się kilka wież obronnych z największą Szeupowari. Odwiedziliśmy również, niedaleko Przełęcz Krzyżowej, Rotundę z podniszczoną mozaiką, przedstawiającą przyjaźń

gruzińsko-rosyjską lub odwrotnie. Obecnie ustawione są tam stragany z pamiątkami z Gruzji, ale najciekawsze są widoki na Kaukaz i kanion rzeki Argawi. Wieczorem zaplanowane zwiedzanie Tbilisi, musieliśmy zamienić na czas wolny, ponieważ kontuzjowana koleżanka czuje się coraz gorzej i trzeba jechać z nią do szpitala. Właścicielka naszego pensjonatu klóci się z taksówkarzem o cenę, ale my zgadzamy się na nią i jedziemy około 500 m do szpitala. Okazuje się, że jeszcze miesiąc temu był szpital, teraz tylko opuszczone mury. Zdezorientowany taksówkarz dopytuje i przewozi nas na drugą stronę budynku. Wchodzimy na izbę przyjęć w trójkę: ja, kontuzjowana Marysia i Danusia Ludwin. Na początek przydała się moja znajomość rosyjskiego a'la wersja gruzińska, potem tłumaczem naszym zostaje ochroniarz, tłumacząc wszystko pielęgniarkom przyjmującym. Później, kiedy lekarze zajęli się naszą Marysią, przydaje się znajomość angielskiego Danusi Ludwin, która tłumaczy lekarzom wszystko o co im chodzi i co jest z naszą uczestniczką. Lekarze po prześwietleniu, złożyli jej złamaną rękę pod znieczuleniem, unieruchomili w cienkim „gipsie” i robili jeszcze jedno zdjęcie, sprawdzając czy wszystko w porządku. Zapłaciła za tę usługę około 100 E, które później wrócił jej ubezpieczyciel. Powracamy późno do naszego hostelu, na następny dzień planujemy zwiedzanie Tbilisi i okolic. Nazajutrz, znanym już schematem podjeżdżamy metrem, wysiadamy na głównej Alei Szoty Rustawego. Według legendy, król Wachtang Gorgasali (452–502) będąc na polowaniu w tych okolicach, w poszukiwaniu swojego sokoła i jego zdobyczy – bażanta, odnalazł martwe ptaki leżące w pobliżu źródła. Źródło to było tak gorące, że zabiło ptaki. Zdziwiony takim zjawiskiem, król Gorgasali przyjrzał się bliżej okolicznej rzece, malowniczym stokom schodzącym do niej, pięknym górkom pokrytym lasami i żyznej ziemi. Zauważył również więcej gorących źródeł. Tutaj nakazał założyć miasto, którego nazwę przyjęto od tych ciepłych źródeł, bo „Tbilisi” jest nazwą pochodzącą od gruzińskiego słowa tbili-ciepły. Aleja Szoty Rustawego to główna arteria tego miasta, ciągnąca się między Placem Wolności, na którym dominuje wysoka pozłacana kolumna Św. Jerzego z ratuszem w tle, a Placem Rewolucji Róż. Znajdują się przy niej Parlament, Gruzjińskie Muzeum Narodowe, kościół Kaszweti czyli „rodzącej kamień”, Teatr im. Szoty Rustawego, Opera im. Paliaszwiliego, Galeria Malarstwa i Filharmonia.



Tbilisi- fot. W.Szarota

Cały czas widoczny jest Pałac Prezydencki i Pomnik Matki Gruzji, twierdza Narikala, Most Pokoju, który podobno potocznie nazywają „podpaską”. Odwiedzamy tureckie łaźnie, Bazylikę Anczischati - najstarszą świątynię w mieście. Oczywiście dominuje nad miastem Sobór Trójcy Świętej, trzecia co do wysokości wśród świątyń prawosławnych na świecie, konsekrowana w 2004 roku i nadal wykańczana. To był niejako ostatni punkt programu, ponieważ słońce pali i trzeba się napić i coś zjeść. Nieopodal tej świątyni, całą grupą zatrzymujemy się w małej przytulnej restauracyjce. Na popołudnie mamy zamówiony bus, ze znajomymi kierowcami. Mamy zwiedzić Uplisciche – starożytne skalne miasto położone około 10 km na wschód od miasta Gori, w Kartlii Wewnętrznej. Ktoś namawia nas na odwiedzenie muzeum Stalina w Gori, ale nie mam ochoty na to, poza tym harmonogram mamy bardzo napięty.



Uplisciche - starożytne skalne miasto - Gruzja - fot. W. Szarota

Zwiedzanie samego Uplisciche zajmuje nam z konsumpcją piwa ok 1 godzinę. Miasto zwiedza się dobrze, ponieważ położone jest nad rzeką na niewysokiej skalnej terasie. Kierunek zwiedzania jest określony, turystów wielu z różnych krajów: z Korei, Japonii, Malezji, Iranu i Rosji. Niektóre grupy zachowują się wręcz jazgotliwie wędrując po miejscach z V w. p.n.e. do późnego średniowiecza, robiąc sobie „switfocie” z dziwnymi minami. Obiegamy niewielki teren szybko, zagłębiając się od czasu do czasu w chłodne wnętrza skalne. Podobno mniej trwałe budowle zburzyło trzęsienie ziemi w roku 1920 r. Miasto zawsze służyło jako schronienie i forteca i dopiero po chrystianizacji Gruzji 331 roku w Mcchecie, powoli zaczęło tracić na znaczeniu. Ostatecznie najazd mongolski w XIV ostatecznie zdetronizował miasto, które jeszcze przy kolejnych najazdach używane było jako czasowe schronienie. Dalej ruszamy do Mcchety. Podwożą nas na parking obok murów obronnych kompleksu Katedralnego. Jesteśmy już zmęczeni całodziwnym zwiedzaniem i obiekty te, wpisane na listę UNESCO, nie wzbudzają w nas wymaganego szacunku. Widać, że jest to miejsce nowoczesnie przygotowane na rzesze turystów; gustowne straganiki, restauracyjki, bary, no i oczywiście same zabytki zadbane i udostępnione np. sobór katedralny Sweti Cchoweli z XI w. budowany na miejscu pierwszej świątyni chrześcijańskiej z IV w. To tutaj koronowano i chowano w groby władców Gruzji takich jak Wachtang Gorgasaliego i innych królów z dynastii Bagratydów. Mccheta nie jest już stolicą administracyjną, ale nadal stolicą duchową,

to tu znajduje się siedziba władz Gruzjińskiego Prawosławnego Kościoła Apostolskiego. Zwiedzanie kończymy szybko, ponieważ dzisiaj wyjeżdżamy do Erywanii ok. 23:40, a w programie mamy jeszcze monastyr Dźwari. To tam św. Nino zatrzymała się w najwyższym punkcie Mcchety i wbiła swój krzyż przewiązany puklem własnych włosów. Już w VI w. n.e. wybudowano tu pierwsze zabudowania kościelne, najpierw Mały Kościół Dźwarii, wiek później Wielki Kościół Dźwarii. Oba, do dnia dzisiejszego, stanowią rodzaj wzorca architektonicznego dla tego typu budowli. Fasady kościołów są przyozdobione kamiennymi płaskorzeźbami, nigdzie indziej nie spotykanymi. Znajduje się tutaj jeszcze fragment Krzyża Św. Nino. Widoki z murów ogrodzenia na miasto i okolice są przepiękne. Nieco zirytowani kierowcy czekają na nas w naszym busie. Zaraz pokażą nam brawurową jazdę na ul. Mickiewicza w Tbilisi. Będziemy mieć ok 1 godzinę na spakowanie bagaży i kąpiel po tym mozolnym dniu. Gospodyni miło zegna się z nami, a my jedziemy busem na Dworzec Kolejowy.

Na dworcu mamy małe ćwiczenia z bagażem schodami w górę, schodami w dół, tak po kilka razy, jeszcze jakieś zakupy na drogę i oczekujemy z biletami na peronie. Ogłoszenia na tablicach w języku gruzińskim, ale w końcu zaczynają wyświetlać się w alfabecie łacińskim. Podjeżdża pociąg. Wsiadający konduktorzy informują jaki wagon i sprawdzają bilety. Szybko znikamy w przedziałach. Na tę noc podzieleni jesteśmy na 4 osobowe zespoły. Początkowo obserwuję krajobraz przez okno, ale za chwile leżę i zasypiam. Budzą nas pogranicznicy z kontrolą paszportową, oni akurat za ścianą mają swoje „biuro” tak że dość szybko oddają paszporty. Jeszcze tylko pogranicznicy ormiańscy wsiądą i sprawdzą paszporty. Po odprawach układamy się do snu, który kończy się na przedmieściach Erywanii. Widoki może nie zachęcające, ale to tylko widoki z perspektywy linii kolejowej. Wsiadamy coś po godzinie szóstej. Jest jasno i już bardzo ciepło. Jedziemy dwa przystanki metrem do naszego hotelu. Odszukujemy, nie bez trudu, ulicę i właściwy budynek, a tu czeka nas ogromne rozczarowanie: schody cementowe, pajęczyny, płatanina kabli. Widzę rozczarowanie na twarzach uczestników. Robert Orzeł ze mną udaje się na trzecie piętro do właścicieli. Informują nas, że miejsca nie są jeszcze wolne, ale bagaże możemy zostawić i umyć ręce. Zakwaterować się będziemy mogli po godzinie piętnastej. Kilka osób ma swoje plany, ale pozostali patrzą na mnie i pytają: co robimy? Idziemy zwiedzać Erywań, zrobimy sobie wymianę na wydatki własne. Mapa w przewodniku i opis miasta muszą nam wystarczyć. Między domami starego miasta jest jeszcze dość chłodno, ale wyczuwa się przebijający gorąc. Miasto robi przyjemne wrażenie, jest czysto, architektura spójna, może trochę przypominająca socrealizm, banki i sklepy gustownie i nowoczesnie zaprojektowane. W jednym z takich banków robimy sobie wymianę. Niedaleko, obok gustownego parku siadamy w ogródku na poranna kawę i mała przekąskę. Nie było tanio, ale profesjonalnie i elegancko. Erywań to jedno z najstarszych miast świata. Został założony w 782 roku p.n.e., czyli... wcześniej o dwadzieścia dziewięć lat niż Rzym! Obecnie liczy sobie około 1,2 mln mieszkańców. Będąc jednym z głównych

miast Zakaukazia, położonym na głównych szlakach z Indii do Europy, przechodził różne koleje losu, ale trwał i rozwijał się. Położony jest niczym widownia amfiteatru naprzeciw biblijnego Araratu, stożka wulkanicznego o wysokości ponad 5000 m n.p.m. odległego od centrum miasta jakieś 40 km na zachód. Obecnie to terytorium tureckie. W dwudziestoleciu międzywojennym zabudowa starówka podlegała sukcesywnej rozbiorce, dając miejsce na realizację urbanistycznych zdolności Aleksandra Tamaniana. On zaprojektował szerokie szachownicowe ulice, poprzecinane obwodnicami otaczającymi centrum. Okazało się, że rano wylądowaliśmy na głównym placu stolicy Armenii: placu Republiki, a nasz hostel leży zaledwie 200 m od niego. Poranne zapoznanie się z metropolią kontynuujemy spacerując niespiesznie w stronę kaskad monumentalnej budowli, którą zwieńcza pomnik 50 - lecia Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z monumentalną iglicą. Pierwotną realizację koncepcji Tamaniana przerwało trzęsienie ziemi w roku 1988. W 2001 roku budową zainteresował się żyjący w Stanach Zjednoczonych ormiański milioner, kolekcjoner i filantrop Gerard Cafesjian. Zdecydował się przekształcić całość w muzeum z ekspozycją sztuki nowoczesnej. My docieramy tego dnia tylko do dolnego placu - parku, wysokiej na 450 m budowli, zaczynającej się pomnikiem Aleksandra Tamaniana, architekta gmachu Teatru Operowego zamykającej od zachodu Kaskady.

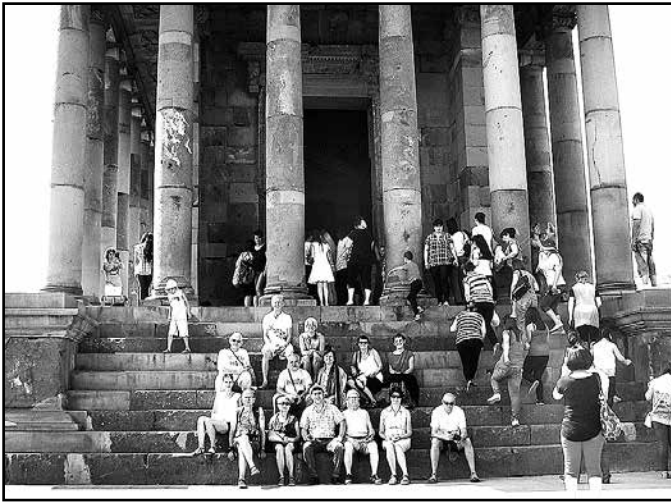


Erywań - pomnik A. Tamaniana, z tyłu Kaskady. fot. W. Szarota

W parku tym znajduje się wiele rzeźb, w tym „Kot” kolumbijskiego twórcy Fernando Botero, „Wojownik rzymski” i „Lorelai” tego twórcy. Jest również metalowa kompozycja - instalacja „Czajnika” jako żywo przypominająca czajnik naszego twórcy sądeckiego Andrzeja Szarka. Ponieważ nasz sądecki czajnik funkcjonuje w przestrzeni artystycznej na pewno 20 lat, to on musiał lub mógł być inspiracją kolejnego artysty. Cafesjian we wnętrzach kaskad umieścił swoją kolekcję sztuki nowoczesnej z dziełami: Pabla Picassa, Joana Mirò, Marka Chagalla, Andy Warhola, Fernando Botero, Arshile Gorky, Jennifer Bartlett i wielu, wielu innych. Jest tam wystawione podobno 5000 dzieł. Ponieważ robi się bardzo gorąco, powracamy przez park nieopodal opery, aby w cieniu ogrodu piwnego ochłodzić się. Później powracamy do naszego hostelu na kąpiel i rozkwaterowanie się. Pierwsze wrażenie ustępuje refleksji, że nie jest tak źle. Mieszkamy bodaj w trzech mieszkaniach, które młody właściciel wyku-

pił na hostel. Obiektu pilnują jego rodzice, a on z żoną wybiera się na krótki urlop i potrzebuje gotówki. Znowu idę z Tadzkiem Pęskim do położonego nieopodal banku, na kolejną wymianę walut, aby zapłacić za cały pobyt. Robert Orzeł załatwia również namiary na kierowcę, który przez telefon ustala stawkę na objazdówki po Armenii. Zgadza się chętnie, zwłaszcza, że jest to cena dużo niższa niż to, co oferują miejscowe biura podróży.

Wieczorem udajemy się na zwiedzania miasta, tym razem zdobywając 572 stopnie kaskad i obserwując Ararat w zachodzącym słońcu. Powracamy niespiesznie, kończąc spacer na placu Republiki, gdzie właśnie rozpoczął się spektakl „Tańczących Fontann”. Muzyka różna, od klasyki po pop z list przebojów z różnych lat. Oglądałem coś podobnego w Pradze, ale ten spektakl podobał mi się bardziej. Jadalnia w naszym mieszkaniu pełni rolę świetlicy, w której spotykamy się wieczorem na degustację koniaków i win armeńskich. Jutro rano rozpoczynamy pierwszy dzień naszych podróży z Aramem, który jak się okazuje znany jest większości Polaków, którzy byli w Armenii w ostatnim czasie. Nasze wycieczki odbywały się codziennie przez kilka dni, do różnych zakątków tego małego kraju. Aram okazał się bardzo sympatyczny. Wesoły, mówiący w zasadzie cały czas po rosyjsku. Początkowo jestem prawie biernym słuchaczem, ale rozumiem go z godziny na godzinę coraz lepiej. Głównie konwersuje z nim Robert Orzeł. Rozmowy te są dowcipne i urozmaicone. Najpierw zabiera nas na najkrótszą przejażdżkę do Klasztoru Geghard i świątyni Garni, miejsca wyjątkowego pod wieloma względami, stanowiącego duchowe i kulturalne zręby Armenii. Klasztor położony jest w prowincji Kotajk, w odległości zaledwie 6 km od pogańskiej świątyni w Garni, którą zwiedzamy w drodze powrotnej do Erywania. Geghard sięga swoją historią czasów przed przyjęciem przez Armenię chrześcijaństwa. To tu wedle przekazów, apostoł Tadeusz przywiózł włócznię, którą przebito bok Chrystusa, co tłumaczy nazwę klasztoru, która po ormiańsku oznacza „włócznia”. Obecnie włócznia a w zasadzie jej stalowy grot jest eksponatem - relikwią w muzeum w Eczmiadzynie. Samo otoczenie monasteru robi na nas niesamowite wrażenie. Prowadząca do niego droga wije się wzdłuż pionowego kanionu, wąwozu rzeki Azat, a sylweta klasztoru wydaje się przyklejona do ścian zbocza doliny. Przechodzimy przez bramy monasteru zostawiając za sobą cały zgiełk tego świata. Z bliska widać, że kompleks jest dużo większy niż się wydawało z zewnątrz. Pełno jest tutaj schodów, grobowców i kaplic, zaułków wykutych bezpośrednio w skale. To średniowieczny majstersztyk architektury chrześcijańskiej, w którym wyciszam się i uspakajam, robię zdjęcia, ale nie skupiam się na nich. Słysząc śpiew mnicha odprawiającego w jakiejś kaplicy mszę św. Grupa na dobrą chwilę rozprasza się po licznych zakamarkach monasteru. Tutaj jest wyraźnie chłodniej niż na parkingu, gdzie czeka Aram. W drodze do Garni, zatrzymujemy się w miejscu widokowym, wychodzimy robić zdjęcia i podziwiać widoki Araratu. To tutaj, pierwszy raz, tak wyraźnie spojrzałem na ten magiczny wulkan. Za chwilę już jesteśmy w Garni.



Świątynia Garni - Armenia - fot. W. Szarota

To właściwie zrekonstruowana antyczna świątynia poświęcona przez króla Armenii Trdata I bogowi słońca Mitrze. Tutaj kanion rzeki Azat widać w całej okazałości, głęboki na około 200 metrów. Świątynię zrekonstruowano w 1975 r. po jej zburzeniu w roku 1697 przez trzęsienie ziemi. Do końca lat 80-tych była naturalną dekoracją radzieckich filmów, a i pewnie teraz jest wykorzystywana przez filmowców. Robimy sobie zdjęcia na schodach pod tympanonem, rozłazimy się, każdy w poszukiwaniu ładnych kadrów i ujęć. Powracamy dość wcześnie do hostelu i kolejny raz, tym razem indywidualnie wyruszamy w miasto. W kolejnych dniach odwiedzamy Eczmiadzyn i Zwartnoc. Eczmiadzyn to duchowe centrum Armenii. Za pięknym ogrodzeniem wchodzimy na teren kompleksu budowli: Katedry, wybudowanej w latach 301-303 n.e., czyli najstarszej świątyni chrześcijańskiej w kraju oraz zabudowań klasztoru, w których znajduje się siedziba Katolikosa - głowy kościoła ormiańskiego. Katedra słynie z pięknych fresków oraz bogatych zbiorów przedmiotów liturgicznych - krzyży, manuskryptów, relikwii, strojów i naczyń. Wykupujemy w ramach wspólnych finansów bilety wstępu do muzeum i oglądamy tam prawdziwe cacka: relikwiarze, monstrancje, chorągwie, i szaty liturgiczne, kielichy i inne naczynia liturgiczne. Wśród ciekawostek relikwiarz z grotem włóczni, która przebiła bok Chrystusa, relikwie Krzyża św. czy relikwiarz z fragmentem Arki Noego. Stąd wyruszamy w stronę położonych niedaleko muzeum ruin katedry Zwartnoc.



Zwartnoc-ruiny katedry z VII w - fot. W. Szarota

Te fragmenty ruin robią do dziś ogromne wrażenie. Budowla ta przyciemniała wyglądem i architekturą świątynię w Eczmiadzynie. Kompleks powstał w VII w. jest nietypową kompozycją. Budowniczy wpisał kościół na planie krzyża w koło, a nie w kwadrat jak w przypadku innych świątyń. Zrekonstruowany wygląd kościoła stanowi architektoniczny „podręcznik” w wielu aspektach do dziś innowacyjny. Ocalałe fragmenty świadczą o kunszcie ormiańskich budowniczych. Katedra została na początku XX wieku odkopana spod ziemi, ponieważ jeszcze w średniowieczu zniszczyło ją trzęsienie ziemi. Naszą przewodniczkę o nienagannyh manierach powstrzymuje kwartet wykonawców wielogłosowych pieśni ormiańskich. Słuchamy krótkiego recitalu wśród ocalałych i „wskrzyszonych” kolumn, koncert gratis, ale płyta zespołu kosztuje 20 euro. Pomimo tego, niektórzy kupują tę niszową, oryginalną muzykę. Później oprowadza nas po ruinach pałacu i zabudowaniach Katolikosa, również po małym muzeum, gdzie poznajemy etapy odkopywania katedry i jej częściowej rekonstrukcji. Kolejnym dniem naszych wojaży po Armenii były klasztory Hachpat i Sanahin położone na północy Armenii, nieopodal granicy z Gruzją nad rzeką Debed. Obydwa klasztory wpisane są na światową listę dziedzictwa UNESCO. Klasztory Hachpat i Sanahin zbudowano w XIII wieku. Aby tam dojechać poznajemy kolejne krajobrazy, przejeżdżamy przez przełęcz na zboczach wulkanu Aragac, najwyższego szczytu Armenii. Na przełęczy pada śnieg i robi się zimno, a na powrocie, za parę godzin, będzie gorąco. Zatrzymujemy się w przydrożnej piekarni - cukierni w miejscowości Aragac. Oprócz tego, że zjemy drugie śniadanie, mamy okazję podziwiać zręczność piekarzy, którzy na naszych oczach uwijają się przy beczkowatych głębokich piecach. W drodze powrotnej jeszcze raz zatrzymamy się tutaj na zakupy i konsumpcję. Oczywiście dla górskich turystów najurokliwszą wycieczką był Aragac - najwyższy szczyt i staratowulkan Armenii o wysokości 4090 m n.p.m. My z racji ograniczonego czasu, ale i też dużej ilości śniegu pomimo lipca, wybieramy się na niższy wierzchołek południowy o wys. 3879 m n.p.m. Do jeziora Kari Licz położonego na wys. 3190 m n.p.m. wjeżdżamy z naszym Aramem. Kari Licz to jeziorko wysokogórskie z ormiańskiego tłumacząc nazywa się „kamiennym”. Mój brat- Wacek zakupił mapy Aragacu od znanego podróżnika Adama Rugały w pliku cyfrowym, i wydrukował je gdzieś w drukarni. W moim bagażu to najpoważniejsza pozycja wagowa, ale dałem radę. Wyruszamy początkowo znaczną drogą, niektórzy bardziej na zachód, ja obok dość dużej wanty skręć prostopadle pod grzbiet opadający na wschód od wierzchołka południowego. Jestem ostatni i próbuję się powoli przyzwyczaić do wysokości. Pierwsi już gdzieś znikli na zachodzie. Wspinam się powoli po polach śnieżnych, początkowo je omijając i wchodzę na wyraźną szczytną w kalderze południowej. Tam zauważam ścieżkę na szczyt. Zakosami wychodzę na południowy wierzchołek. Czech ubrany niczym Rambo, przestrzega mnie, abym nie wchodził za bardzo na nawis śnieżny. Z mojej grupy nie ma nikogo, ale jestem informowany przez Czecha, że już parę osób było, ale gdzieś poszło. Za jakieś 15 min wchodzi zmęczona grupa zasadnicza zdziwiona moim widokiem. Robimy sobie

zdjęcia, pijemy herbatę z termosów i napawamy się widokami Aragacu, jego wulkanicznego krateru, ale przede wszystkim Araratu, do którego tylko ręką sięgnąć.



Na szczycie Aragaca - fot. W. Szarota

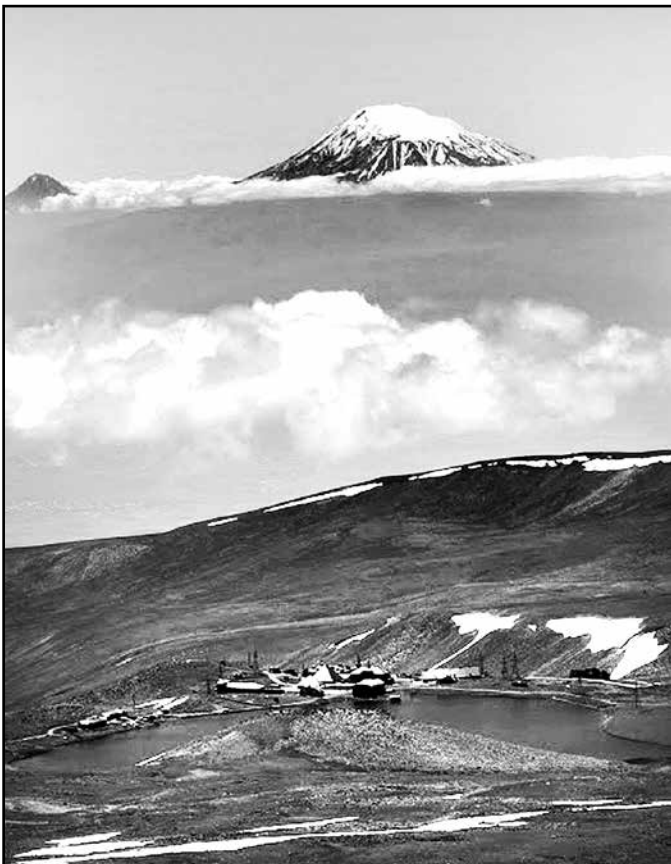
Po dłuższym odpoczynku proponuję pozostałym uczestnikom „moją” drogę na powrót. Powoli schodzimy, zatrzymując się co chwilę i oczekując na tych ostatnich. Na polach śnieżnych, zachęteni przez braci Czechów, rozpoczynamy zjazdy dalsze i krótsze. Przyspiesza to znacznie szybkość poruszania, ale wydłuża czas oczekiwania na tych ostrożniejszych. Ponieważ tego dnia nie miałem ani grama wody ze sobą, widząc budynki restauracji przy Kamiennym Jeziorze, przyspieszam wraz z kilkoma osobami. Informowani jesteśmy, że restauracja nieczynna. Wolę sprawdzić osobiście i wchodzę od zaplecza do restauracji. Domyślają się, że potrzebuje piwa, bo pytają ile? Trzy piwa! Ale wyjdiesz na zewnątrz? Tak, nawet tak mi pasuje. Później jeszcze Robertowi udaje się zamówić miejscową specjalność: zupę hasz, specjał z byczych nóżek, to taki rosół

gęsty z mięsem, coś jakby nasza galaretką z nóżek na gorąco. Jest dopiero godz. 14:30, ale musimy czekać jeszcze na zdobywców najwyższego wierzchołka. Wkrótce pojawia się Tadzio Pęski oświadczając, że zdobył prawie północny wierzchołek bez ostatnich 16 metrów, ponieważ bez asekuracji wolał nie ryzykować niepotrzebnie.

W legendzie, którą na swojej stronie przytacza Adam Rugała, Grzegorz Oświeciciel założyciel kościoła ormiańskiego, został „oświecony” z nieba wiecznie palącą się latarnią. Ormianie uważają, że ona wciąż tam jest, ale widzą ją tylko ludzie o czystych sercach. Zjeżdżając, obserwujemy letnie wypasy nomadycznego ludu „Jazydów?”, przynajmniej tak o nich mówił Aram. Wyglądają na szczęśliwych i zadowolonych. Odwiedzamy jeszcze w tym dniu twierdzę Amberd z VII-XIV w. Chociaż wycieczka nad Jezioro Sewan była planowana jako jedna z pierwszych w Armenii, pozostawiłem ją na koniec. Dla Ormian to jedno z trzech ormiańskich „mórz”, ale jedyne położone w obecnych granicach.



Nad Jeziorem Sewan - fot. W. Szarota



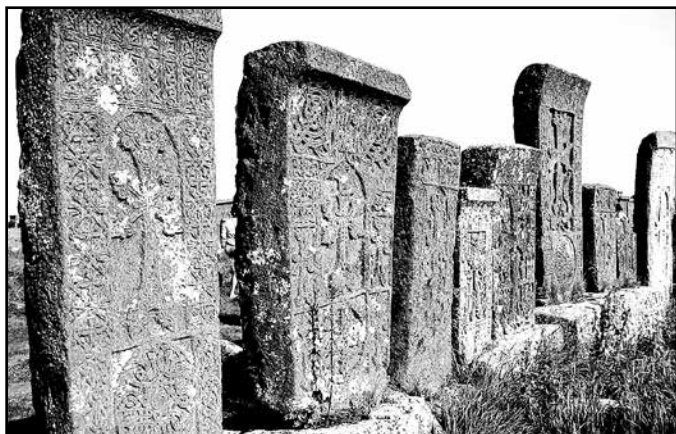
Widok na Ararat ze szczytu Aragac - fot. T. Pęski



Nad Jeziorem Sewan - fot. W. Szarota

Obecnie ma poziom obniżony o ok 30 m, ponieważ Józef Stalin chciał wodami z jeziora nawadniać półpustynne pola uprawne. Na szczęście zaniechano szaleńczego pomysłu i powoli poziom wód powraca do normy. Jezioro położone jest na wysokości 1900 m i wpada do niego 28 rzek, a wypływa tylko jedna - Hrazdan dopływ Araksu. Podjeżdżamy do podnóża monastynu Sewanwank z IX w. na tłoczny parking. Spędzimy w tej miejscowości kilka godzin, łącznie z wypoczynkiem nad jeziorem, oglądaniem miejscowego święta Dzieci Gór i popisów najmłodszych tancerzy ludowych, czy wreszcie spoży-

ciem wspólnego ormiańskiego posiłku. W drodze powrotnej odwiedzamy cmentarz Noratus, bo to największe skupisko ormiańskich chaczkarów.



Cmentarz w Noratus - fot. W. Szarota

Według starej ormiańskiej tradycji chaczkar, to misternie zdobiony i rzeźbiony krzyż w kamieniu, będący nie tylko upamiętnieniem zmarłych ludzi, ale też podziękowaniem i ofiarowaniem dla Chrystusa. W Armenii spotykamy co rusz takie chaczkary, a każdy jest inny; różnią się rozmiarem, kolorem i ornamentem. Noratus robi wrażenie na wszystkich uczestnikach, nie tylko rozmiarem. Oprowadzani jesteśmy przez miejscowe kobiety, dorabiające sprzedają pamiątek, każdy idzie w swoją stronę wyławiając perełki kamieniarstwa. Na koniec Aram podwozi nas pod prywatny browar, gdzie na wieczór zaopatrujemy się w oryginalne piwo. Wieczorami na naszej dyżurnej sali spotykamy się na wieczorach z meczami piłki nożnej (Mistrzostwa Europy w piłce nożnej), są to wieczory podsumowań i planowań kolejnych wypadów. Ostatniego wieczora w Armenii informujemy, że wyjeżdżamy rano ok. 8:00 do Kutaisi w Gruzji. Wszyscy entuzjastycznie wyrażają się o Armenii, zachwyceni bogactwem zabytków, kultury. Wszyscy doceniają również klimat i temperaturę powietrza, ale również klimat spotkań, rozmów z ludźmi, życzliwość. Trasa

przejazdu przebiegała w przepięknej i upalnej pogodzie. Znowu podziwialiśmy przepiękne krajobrazy, również pobliskiego Azerbejdżanu. Na granicy z Gruzją godzinna przerwa i sjeśća w cieniu budynków. Jeszcze przez Gruzję jechaliśmy przez jakieś 5-6 godz. Wieczorem nasi kierowcy zawieźli nas według GPS-u pod hotel położony w starej dzielnicy Kutaisi. Hotel obok sklepu. Żegnamy się z naszym kierowcą i jego pomocnikiem, który zna język polski biernie, bo pracował w Ostrowcu Świętokrzyskim przez 5 lat na targowisku. Widać było, że już byli zmęczeni, a muszą jeszcze wrócić do Erywanii. Nasz hotel prowadzą sympatyczni Polacy z jakiejś Fundacji. Jest zdecydowanie bardziej gorąco i parno niż w Armenii. Rano po śniadaniu w cieniu na tarasie z gruzińskimi czynkami, wyruszamy wynajętymi samochodami zwiedzać okolice Kutaisi. Są to zabytkowe monastery Bagrati, Gelati i Motsameta (UNESCO), a później Jaskinię Prometeusza w okolicach Tskaltubo oraz spacerujemy nad kanionem rzeki Gachedii. Jesteśmy zmęczeni tak intensywnym dniem. Powracamy i tak dość wcześnie. Zdążymy jeszcze zjeść dobrą gruzińską kolację w okolicach naszego hotelu, później pakowanie i krótki sen. O drugiej w nocy pobudka i przejazd na lotnisko w Kutaisi. Odprawa i wkrótce wylatujemy do Katowic. Pozostała część nocy przesypiamy w samolocie. Lądujemy w zamglonych, chłodnych Pyrzowicach. Umówiony kierowca czeka i powracamy do Nowego Sącza jeszcze przed południem. Podczas drogi ciągle myślę o tym co powiedział mi Aram:

„...Wy Polacy w ormiańskim języku zwani jesteście Lechy, my Haje, my i wy pochodzimy od dzieci Noego. Polacy - Lechy to bardzo odważny i waleczny naród...”

Wyprawa udała się dzięki doskonałej synergii wszystkich uczestników, a zwłaszcza logistycznemu zmysłowi Roberta Orła, za co jemu i wszystkim „wyprawowiczom” bardzo dziękuję.

Wojciech Szarota

Mały, Wielki Człowiek z sądeckich Wólek



Na sądeckim osiedlu Wólki mieszka jeden z czołowych polskich wspinaczy, zdobywający najwyższe szczyty świata w złotym okresie polskiego himalaizmu, za czasów światowych sukcesów Wandy Rutkiewicz, Andrzeja Zawady, Leszka Cichego, Krzysztofa Wielickiego czy legendarnego Jerzego Kukuczki. Walenty Fiut ma dziś prawie 70 lat. Wygląda na co najmniej dziesięć lat mniej. Ten niewysoki, krępy, z ogorzałą twarzą, niezwykle skromny mężczyzna, natychmiast olbrzymieje, gdy zaczyna opowiadać o wspinaniu się w wysokich górach. W jednym z wywiadów stwierdził parę lat temu, że „ta pasja nie ma granic. W pewnym momencie staje się czymś priorytetowym w życiu”. To ona popycha „świeżo upieczonego” małżonka na

wyprawę na Mount Everest trwającą 3 miesiące. Jest początek roku 1980. Urodzony w Podegrodziu Sądeczanin, który młode lata spędził w Mochnacze Niżnej, wspinają się w doborowym towarzystwie: Leszka Cichego, Krzysztofa Wielickiego, Andrzeja Heinricha, Andrzeja Zawady. Chcą dokonać niemożliwego: zdobyć Everest zimą!

MD: Dlaczego Polacy zainicjowali zdobywanie ośmiotysięczników zimą?

Walek: Skończył się definitywnie czas zdobywania ośmiotysięczników latem w okresach przed i pomonsunowych w Karakorum i Nepalu i to bez udziału Polaków. Życie za „żelazną kurtyną” po II wojnie światowej, wyeliminowało nas – Polaków ze współuczestniczenia w wyścigu na najwyższe szczyty świata. Polacy znaleźli inny cel. Andrzej Zawada zainicjował pomysł zdobywania ośmiotysięczników w okresie zimowym. Takich wspinaczek jeszcze do 1979 roku nikt na

świecie nie realizował. Ten pomysł okazał się wkrótce strzałem w dziesiątkę. W okresie od 1980 roku do 2014, dziesięć ośmiotysięczników padło łupem Polaków w tym jeden z udziałem (Włocha) Simone Moro.

K2, drugi co do wysokości szczyt świata, w dalszym ciągu czeka na zdobycie (oczywiście zimą).

MD: Jakie cechy osobowości i predyspozycje fizyczne umożliwiają przetrwanie w skrajnie trudnych warunkach powyżej 8000 m?

Walek: Na podstawie moich pobytów powyżej 8000 m mogę powiedzieć, że bardzo ważne są, nie tylko zdrowie i kondycja fizyczna oraz łatwa aklimatyzacja na dużych wysokościach, ale również wewnętrzny upór, duch walki z sobą i przeciwnościami. Bycie z kimś komu się ufa, na kogo można liczyć, pomaga w przetrwaniu, czasem po ludzku mówiąc, bez nadziejnych sytuacji. Gdy drżysz całym ciałem z zimna i braku tlenu, umysł wciąż pracuje, uruchamiasz najgłębsze pokłady świadomości do akcji mięśni. Nie wolno się poddawać. Nie można doprowadzić naszego organizmu do bezczynności, deterioracji. Jesteś przecież komuś potrzebny!

MD: 11 lutego 1980 r. wszedłeś razem z Leszkiem Cichym i Krzysztofem Wielickim na Przełęcz Południową, gdzie założyliście obóz IV z którego można było zaatakować szczyt Mount Everestu.

Z notatnika Wielickiego: „.. 11 lutego udało się nam dotrzeć do Przełęczy Południowej (prawie 8 000 m). Leszek Cichy, Walek Fiut i ja, przygięci przez wiatr z Tybetu, z trudem rozstawiliśmy jednomasztowy, ortalionowy namiot-pałatkę, który służył nam za czwarty obóz. Nazwaliśmy go „szmatą kierownika”. Leszek się do niego nie zmieścił, więc tego samego dnia zszedł do obozu trzeciego, do partnera. Przed nami była trudna noc. Nasze działania ograniczały się do trzymania masztu i prób zapalenia palnika. Wiatr natychmiast gasił płomień, więc bez kropli wody czekaliśmy rana. Mieliśmy łączność z bazą, cieszyliśmy się, że się udało, że przed nami tylko ostatni etap. Tylko jak pokonać wiatr?..”



Walek i Leszek Cichy na Żebrze Genewczyków przed Południową Przełęczą

MD: O czym myślałeś zmagając się z tybetańskim mrozem i wiatrem a także własnym organizmem nieprzystosowanym do tej wysokości?

Walek: Po pierwsze, byłem bardzo zaskoczony niezwykle silnym wiatrem, który naprawdę nie pozwalał normalnie

poruszać się po prawie płaskiej powierzchni Południowej Przełęczy. Pamiętam, że poruszaliśmy się zgięci w pół, aby zmniejszyć do minimum opór naszych ciał atakowanych przez szalejący wiatr. Dodatkowo wysokość i ograniczona ilość tlenu z którego korzystały nasze organizmy jeszcze bardziej utrudniały chodzenie, do tego mróz, z każdą godziną zbliżającej się nocy, coraz ostrzejszy.

Aby bardziej uświadomić czytelnikowi jak się zachowują na dużych wysokościach himalaisci, jak żyją, opiszę w paru zdaniach tamte dni, tamte zdarzenia.

Dotarliśmy do przełęczy we trójkę. Byliśmy pierwszymi osobami w ogóle na tej wysokości w porze zimowej. Wszystko co mnie otaczało, wprowadzało mnie w zdumienie...Nie tak wyobrażałem ją sobie. Zaskoczył mnie zupełny brak śniegu. Półtora tygodnia wcześniej wyprawa musiała przerwać działalność powyżej obozu III, ze względu na załamanie pogody. Wtedy to ucierpiał nasz kolega Krzysiek Żurek. Szalejący wiatr na wysokości około 7300 m npm porwał go i strącił ze ściany. Na szczęście nie było tam szczelin i wyhamował na śnieżnym występie. Miał wybity bark i po sprowadzeniu go do bazy musiał wrócić do Polski. Skończył się okres złej pogody, ale wiatr nie przestał wiać. Przełęcz Południowa została odarta z pokrywy śnieżnej. A na jej powierzchni ukazał się - położony najwyżej na świecie, wielki śmietnik. Tego wyjątkowego, paskudnego miejsca, chyba nigdy nie zapomnę. Przed tą wyprawą widziałem różne zdjęcia z przełęczy: Olbrzymia powierzchnia, pokryta białym śniegiem, ciągnąca się między stokami olbrzymów himalajskich, z jednej strony Everest a z drugiej Lhotse. Na wschód rozpościera się widok na Tybet chiński a na zachód Nuptse i tzw Kocioł Zachodni. To przez ten ostatni prowadziła nasza droga na Przełęcz Południową.

A wracając do śmietnika. Można było na rumowisku skalnym zobaczyć dosłownie wszystko co poprzednicy zdołali wynieść. A więc: potargane namioty, śpiwory, jakieś materace, kuchenki gazowe i na benzynę, poprzecinane a niektóre prawie jak nowe liny wspinaczkowe, maski i butle tlenowe w wyjątkowo dużej ilości. Były też niezliczone ilości puszek po konserwach, sokach itd. Tego tam nie powinno być! Nikt z potencjalnych zdobywców Everestu, przez prawie 40 lat, najprawdopodobniej niczego co niezbędne nie znosił w dół.

Były godziny popołudniowe. Leszek po krótkim czasie spędzonym na tej nieludzkiej ziemi, zszedł sam po poręczówkach do obozu III. Ja z Krzyskiem zabraliśmy się do rozłożenia naszej „płachty biwakowej”.

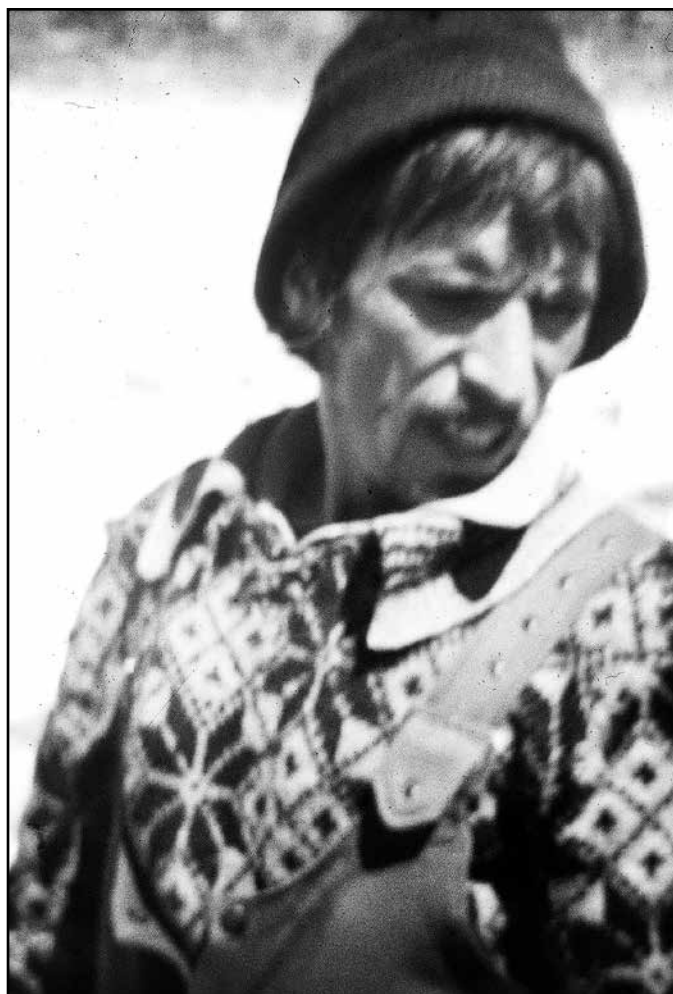
To była wyjątkowo ciężka praca, ciągła walka z wichurą. Wiatr wyrwał nam ten niewielki namiocik z rąk. Sznurkowe odciągi okręcałem wokół rąk, aby nasz „przeciwnik” nie zabrał go w przepaść. I tak to nie pomogło. Materiał szturmowego namiocika szeleścił w rytm wyjącego wiatru. Byliśmy parę metrów oddaleni od siebie, ale ledwie się słyszeliśmy. Nie dajemy rady przytwierdzić go do podłoża, które zresztą było zmrożone na kamień. Po jakimś czasie wpadłem na pomysł wrzucenia kilku butli do środka namiotu. Krzysiek trzymał i pilnował namiotu a ja nosiłem je. Po włożeniu chyba 6 czy też 8 metalowych butli mieliśmy nadzieję, że uda nam się

spędzić noc na przełęczy. Teraz było już trochę łatwiej. Udało nam się przepuścić linę przez środek naszego „domku” i z dwóch stron przywiązać do wystających kamieni. Jeden z nas wszedł do środka a drugi podawał plecaki z naszym biwakowym sprzętem. Jeszcze udało się odkopać kawałek lodu, który też umieściliśmy w namiocie. Przed wejściem do środka kolejne butle położyłem na linie zabezpieczającej namiocik. Uznałem, że wreszcie mogę też wejść do środka. Krzysiek wbił się już do śpiwora i na wół leżąc wyciągał z plecaka maszynkę butanową. Zadaszenie namiotu wsparliśmy na jednym maszcie. Wiatr nie ustępował, więc musieliśmy ten maszt trzymać w ręce. Zrobiło się cieplej. Ja też naciągnąłem na siebie śpiwór. Wreszcie ten zmroźony wiatr nie bił bezpośrednio w twarz. Wreszcie na chwilę zdjąłem rękawice i dotknąłem nosa. Był zimny, prawie jak lód, a moje palce zeszywniały. Włożyłem je na chwilę do ust i po chwili poczułem mrowienie. Krzysiek narzekał na bolące palce u nóg. Mimo wszystko cieszyliśmy się z tej osłony przed wichrem. Mieliliśmy ze sobą termometr. Znaleźliśmy go w plecakach. Zaczęło zmierzchać. Termometr wskazywał -37 stopni Celsjusza. Trzymamy maszt na zmianę i próbujemy ustawić maszynkę butanową. Wkładamy kawałki lodu do menażki i próbujemy zapalić gaz. Między śpiworami a daszkiem namiotu powstała niewielka przestrzeń, wciąż zmieniająca się, w zależności od siły wiatru. Ruszająca się z dużą szybkością płachta namiotu powodowała, że wewnątrz też panował wiatr. Kolejne próby zapalenia kuchenki gazowej nie powiodły się. Musieliśmy uważać, aby nie spalić przy okazji naszego „raju”. Zmęczenie dawało nam się też we znaki. Przystaliśmy wzniecać ogień. Zjedliśmy kawałki zmarzniętej czekolady. Powoli zamykały nam się oczy. Specjalnymi jumarami przywiązaliśmy się do liny i czuwaliśmy na zmianę. O śnie nie było mowy, było to raczej tzw. kimanie. Mieliliśmy też łączność (nie najlepszą) przez radiotelefon z bazą. Zawiązała się dyskusja między bazą i innymi obozami a nami, głównie z kierownikiem wyprawy, Andrzejem Zawadą co do dalszego, jutrzejszego planu. Kierownik sugerował nam wyjście bardzo wcześnie rano w kierunku szczytu. Andrzej Heinrich natomiast proponował nam zejście w dół. Musieliśmy zadecydować sami. Szalejący wicher nie ustąpił do rana. Nasza koszmarna noc ciągnęła się bardzo długo. Podczas krótkich chwil zasypiania śniłem, że nasza „łódź” płynie nad szczytami pogrążonymi w gęstych mgłach. Chwile czuwania natomiast to nieustanny czas pracy palców rąk i nóg. Ciągłe zginanie i rozprostowywanie ich. Wmawiałem sobie, nie możesz Walek zaprzestać tych ruchów. Od tego zależy dalsza twoja przyszłość. Nie możesz odmrozić niczego. A palce u nóg i rąk są najbardziej narażone na odmrożenia. Gwałtowna wichura od Tybetu chińskiego jeszcze rano przewalała się przez przełęcz. Nad ranem temperatura grubo przekraczała -40 stopni Celsjusza. Byliśmy bez kropli płynu. Spierzchnięte usta, wcześniej od słońca a teraz od wiatru i mrozu były jakieś sztywne, obleczone grubą skorupą. Trochę bolały. Głowa nieco ciążyła, głównie z powodu wysokości. Razem z Krzyśkiem podjęliśmy, chyba słuszną, decyzję o zejściu do niżej położonych obozów. Uznaliśmy, że nie jesteśmy przygotowani do dalszego ataku.

MD: Szczyt zdobyli 17 lutego Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki. Dlaczego nie znalazłeś się w grupie szturmowej?

Walek: Bardzo szybko schodziliśmy w dół, mimo że Krzysiek odczuwał ból palców u nóg. Kolejna dwójka naszych kolegów wychodziła z obozu III na przełęcz. Nieśli brakujące sprzęty, lepszy namiot i butle z tlenem. Doszliśmy do obozu II na wys. 6500 m npm. Krzysiek coraz bardziej odczuwał palce u nóg i postanowił w nim zostać. Z informacji od kierownika wiedziałem, że do ataku szczytowego są przygotowane kolejne dwuosobowe zespoły. Mają wchodzić na przełęcz w kolejnych dniach w razie wycofania się szturmującego zespołu. Wyliczyłem, że to potrwa około pięciu dni. Więc co tu w „dwójce” będę robił? Tu są gorsze warunki wypoczynku niż w bazie. Tak pomyślałem i jeszcze tego samego dnia zbiegłem do bazy. Mijały kolejne dni. Te ustalone przez kierownika grupy szczytowe, niestety, wykruszyły się dość szybko. Najwyżej doszła grupa Zawada i Szafirski do wys. ok 8200. W tej sytuacji skrócił się czas oczekiwania na kolejne wyjście. W obozie II byli gotowi do wyjścia Krzysiek i Leszek. I poszli w górę. To był też, jak się okazało, ostatni moment na osiągnięcie szczytu. Ministerstwo Turystyki w Nepalu przedłużyło wyprawie zezwolenie, na zdobywanie Everestu, do 17 lutego.

Po zdobyciu Everestu, kierownik zakończył wyprawę. Wszyscy jej uczestnicy muszą akceptować tą decyzję. Najważniejszy jest cel wyprawy, a osobiste ambicje niejednokrotnie trzeba zachować głęboko w sercu, chociażby bardzo raniły.



Walek w bazie pod Everestem w góralskim swetrze i czapce z alpaki

MD: Jakie miałeś wcześniejsze osiągnięcia w zimowej wspinaczce na góry wysokie?

Walek: Nie miałem, jak i moi koledzy z I zimowej wyprawy na Everest, żadnych doświadczeń w zimowych wejściach w górach najwyższych. Miałem natomiast doświadczenia w zimowych wspinaczkach w Alpach. Do najważniejszych mogę zaliczyć I przejście polskie, drogą klasyczną północnej ściany Eigeru w Alpach Szwajcarskich. Wraz z Andrzejem Czokiem, Januszem Skorkiem i Jasiem Wolfem w 4 dni pokonałem tę jedną z najgroźniejszych i największych ścian alpejskich na początku marca 1978 roku. Ponadto zdobyłem zimą Grandes Jorasses przez tzw. „Całun” oraz inne ściany alpejskie. Pokonałem także, z kolegami, zimą trudne drogi tatrzańskie z biwakami (były to pierwsze zimowe polskie przejścia) m.in. Rumanowy Szczyt prawym filarem z doliny Kaczej w 1972r., na Łomnicy - zachodnia ściana, drogami: „Wielki Filar” w 1974r., „Czarny Filar” w 1975r., Kieżmarski Szczyt – południowa ściana, „Wielkim Zacięciem” (tzw droga Pająków).

Do tego muszę dodać moją bardzo intensywną działalność przed Everestem w Andach Peruwiańskich (1973r), Andach Kolumbijskich (1975/1976r), dwukrotnym pobycie w Kaukazie, dwukrotnej działalności w Pamirze, Hindukuszu Afganskim, Kaszmirze Indyjskim itp.

MD. Wziąłeś udział w dwóch z trzech tragicznych wypraw na Lhotse. Podczas pierwszej zginął Rafał Chołda, podczas drugiej lekarz wyprawy Czesław Jakiel, a podczas trzeciej Jerzy Kukuczka. Wszystkie odbywały się latem, bardzo trudną, wytyczoną przez samych Polaków drogą, z przewyższeniem w postaci pionowej ściany o wysokości trzech kilometrów. Południowa ściana Lhotse to największe wyzwanie dla himalaistów XX i XXI wieku. Jest ona jedną z największych i najtrudniejszych ścian w całych Himalajach. Była wielokrotnie atakowana zarówno przez wielkie wyprawy obłąnnicze, w lekkim stylu alpejskim, jak i całkowicie w pojedynkę solo. Czterokrotnie próbowały ją zdobyć zespoły polskie.



Południowa ściana Lhotse

1985 wyprawa kierowana przez Janusza Majera osiągnęła wysokość 8200 m. Do najwyższego punktu, na filarze centralnym, dotarli: M. Daśal, W. Fiut, A. Hajzer, K. Wielicki. Zespół pokonał bez asekuracji cały kocioł podszczytowy. Zatrzymany został na filarze centralnym przez trudny technicznie próg

skalny. Kolejny atak, innym wariantem w kotle (wyżej) prowadził zespół R. Pawłowski, R. Chołda, J. Kukuczka ale i on musiał zawrócić. Po nieudanym ataku zespół wracał na biwak do obozu VI.

W 1987 roku polska wyprawa, kierowana tym razem przez Krzysztofa Wielickiego ponowiła próbę. W pierwszej części trwania wyprawy miała miejsce potężna lawina seraków, która spadła z wysokości 7000. Na lodowcu, niedaleko od bazy znajdował się zespół podchodzący w tym momencie do obozu I. Fala uderzeniowa lawiny oderwała himalaistów od podłoża. W. Fiut odniósł ciężkie obrażenia a Cz. Jakiel poniósł śmierć na miejscu. Tylko Włochowi Alois Bruggerowi nic się nie stało. Po wypadku kontynuowano wyprawę tą samą linią co w 1985 roku. Tym razem postanowiono położyć liny poręczowe w kotle podszczytowym. Akcję poręczowania ponad obozem VI prowadził zespół szturmowy A. Hajzer i K. Wielicki. Po dwóch dniach tej pracy przystąpił on do ataku już na lekko. Po wcześniej założonych linach szybko dotarł do krawędzi kotła skąd wprost w górę kontynuował wspinaczkę terenem skalno-lodowym o IV-tym stopniu trudności, aż na krawędź filara centralnego na wys 8300m. Punkt ten A. Hajzer i K. Wielicki osiągnęli w godzinach wieczornych i zmuszeni zostali do zaimprovizowanego biwaku w wyrąbanej lodowej dziupli. W nocy rozszalał się sztorm i następnego dnia wspinaczka nie mogła być kontynuowana. Wyprawa zakończyła się bez sukcesu choć tak niewiele z pozoru pozostało drogi do szczytu.

Wiosną 1989 roku A. Hajzer i K. Wielicki ponawiają próbę. Działają tym razem w ramach międzynarodowej wyprawy Zjednoczonej Europy pod kierownictwem R. Messnera. Hajzer i Wielicki wchodzą w ścianę w czystym stylu alpejskim tą samą drogą. Pogoda zmusza ich do wielodniowego biwaku na 7200 i w końcu do odwrotu.

Jesienią 1989 pod ścianą znowu zjawiają się Polacy. Mały zespół kierowany jest przez Jerzego Kukuczkę, który już dwa lata wcześniej zakończył z powodzeniem program zdobycia wszystkich czternastu ośmiotysięczników. W dalszych latach kariery chciał się on skoncentrować na pokonywaniu wielkich ścian Himalajów. Jego wyprawa wspinająca się tą samą linią co wcześniejsze polskie próby i pokonywała kocioł podszczytowy linią Hajzera i Wielickiego z 1987 roku. Ponad kotłem zespół J. Kukuczka R. Pawłowski atakował po alpejsku, asekurując się liną na sztywno. Ponad nim były głównie czwórkowe trudności



Tablica pamiątkowa Polaków, którzy zginęli na południowej ścianie Lhotse

skalne, lodowe ale i zdradzieckie odcinki łamliwego, spionowanego śniegu, w którym trudno było o oparcie dla nóg. Tu, tuż pod biwakiem Hajzera/Wielickiego na 8300 z 1987 Jerzy Kukuczka stracił równowagę i odpadł od ściany. Asekurująca go lina pękła. J.Kukuczka spadł do podstawy ściany i zginął.

MD: Druga z wypraw na Lhotse była tragiczna dla Ciebie: zostałeś wraz z Jakielem porwany przez boczny podmuch lawiny, która was zmiotła. To wystarczyło, by tocząc się po przepastnym zboczu, doznać bardzo poważnego urazu biodra i kolana, który na zawsze wyeliminował Cię z udziału w ekipach szтурmowych na najwyższe góry. Twój partner, Czesław Jakiel zginął.

MD: Opowiedz o tych trudnych chwilach i o tym, że musiałeś na zawsze porzucić marzenia o „świecie gór najwyższych”

Walek: Trudne pytanie, ale jeszcze trudniejsza odpowiedź. Jestem osobą, która mało, naprawdę mało rozmawia o swoich przeżyciach, doświadczeniach...Ale spróbuję. Wczesnym rankiem wyszliśmy we trójkę z bazy aby dojść do obozu I. Noc ustąpiła dość szybko i robiło się coraz jaśniej. Pokonaliśmy bardzo szeroki lodowiec rozłożony u podstawy ogromnej, wysokiej na 3 kilometry południowej ściany Lhotse, która była celem naszej wyprawy. Lodowiec, jego konfigurację, szczeliny i inne zdradzieckie miejsca dość dobrze znałem z wyprawy poprzedniej z 1985 roku. Znałem dobrze również środkową partię tej ściany, gdzie dwa lata wcześniej poprowadziliśmy nową drogę do wysokości ok 8250 m n. p. m. Rozciągnęliśmy wówczas liny poręczowe prawie do 8000 m. Wydawało się, że podejście do tej nowej „drogi” jak też jej wytyczenie na ścianie było optymalnym rozwiązaniem. Trasa prowadziła najpierw w dolnej części ściany wyraźnym żebrzem skalno – śnieżnym a wyżej polami śnieżnymi. Pomiędzy wysokością 7500 a 8000 m npm musieliśmy pokonać bardzo trudną barierę prawie pionowych skał, by potem wejść w olbrzymi, amfiteatralnie ułożony, kuluar. Jeszcze wyżej była bariera pionowych skał, na której załamał się nasz atak szczytowy przed dwoma laty. Nie doświadczyliśmy wówczas żadnej spadającej lawiny ani na ścianie, ani też na podejściu. To dlatego tym razem kroczyliśmy utartą ścieżką. Z doświadczeń jak też z literatury było mi wiadomo, że lawiny naprawdę rzadko spadają wczesnym rankiem, na ścianach zacienionych.

Razem ze mną był Czesiek Jakiel, lekarz wyprawy i Alois Brugger. Mróz skrzypiał pod butami. Szliśmy jeszcze w głębokim cieniu, bo masyw Lhotse zasłaniał słońce. Daleko na południe, za lodowcem, już na wschodnich stokach Island Peak (6189m) i Ama Dablam (6812m) poranne promienie słońca muskały wieczne śniegi. Szczyty te są bardzo atrakcyjnym celem uczestników komercyjnych wypraw dla mniej doświadczonych alpinistów. Zapowiadał się wspaniały dzień.

Na południowej ścianie w obozie I migało światło. Nasi koledzy A.Osika i M. Pawlikowski też przygotowywali się do wyjścia w górę. Podczas przejścia lodowca od czasu do czasu rozmawiałem z Czesionkiem. Tak często zwracałem się do mojego bardzo dobrego przyjaciela Czeška. Był zaskoczony wielkością lodowca, ale jeszcze bardziej ogromem ściany

lodowo - skalnej wiszącej nad nami. Czesiek przyjechał po raz pierwszy w ten rejon Himalajów. Cieszył się jak dziecko z faktu bycia na tak prestiżowej wyprawie. Marzył o pobycie wśród kolosów himalajskich. Szliśmy powoli w odległości ok. 5 metrów od siebie. Na lodowcu mogliśmy iść bez raków, bo pokrywały go całe masy kamieni i żwiru.

U podstawy ściany stok się spiętrzył, był pokryty zbitym śniegiem. Wszyscy założyliśmy raki. Ja i Alois (tyrolczyk) wzięliśmy też czekany z plecaków. Z tego co pamiętam, Czesiek zostawił czekan przypięty do plecaka. Pokonywaliśmy stok zakosami. Było jeszcze przed godziną szóstą. I nagle usłyszałem ogłuszający huk a przed oczami ukazała mi się ogromna „ściana gęstej mgły”. To był moment. Padłem na stok wbijając w śnieg dziób czekana. Tyrolczyk był przede mną, zdążył uskokczyć w zagłębienie, w pobliżu którego się właśnie znajdował. Nie wiem co zrobił Czesiek! Nie zdążyłem spojrzeć do tyłu, bo w tym samym momencie poczułem bolesne szarpnięcie i ...straciłem przytomność!

Po jakimś czasie...naprawdę nie wiem jak długo to trwało, usłyszałem wołanie „help, help, help...”. Leżałem na śniegu i nie mogłem się ruszyć. W pobliżu stał tyrolczyk, który niecierpliwie biegał koło mnie i wołał o pomoc. Powoli odzyskiwałem świadomość. Czułem się tak, jakby mnie ktoś uderzył „obuchem”. Wszystko mnie bolało. Nie mogłem ruszać nogami. Oczy zamykałem to znowu otwierałem i po kolejnych minutach zobaczyłem nade mną kolegów z obozu I. To Andrzej i Maciek. Pytali jak się czuję. Widzieli z obozu I lawinę, która nas porwała. Szybko zbiegli po poręczówkach i dotarli do nas z pomocą. Oczywiście to wszystko musiało trwać dość długo, bo obóz I znajdował się na wys. około 6000 m. Spytałem gdzie Czesiek? Jakby nie słyszeli. A Czesiek, zapytałem jeszcze raz? Dotarły do mnie słowa - nie żyje! Płakałem jak dziecko...Czesionek zginął! Myślałem tylko o nim. Przebiegła mi myśl przez głowę, że to ja mu zaproponowałem udział w tej wyprawie...

Koledzy skontaktowali się z bazą wyprawy. Przynieśli jakieś fragmenty płyty-sklejki (służącej nam w bazie za blat stołu), szable śnieżne i powiązali linami. Na tak przygotowanych noszach przetransportowali mnie do bazy. Wyprawa nie posiadała komórek. Jeden z Szerpów pobiegł w rejon Namche Bazar, gdzie na małym lotnisku poprosił o pomoc. Na całe moje szczęście na lodowcu Lhotse była ładna pogoda i trzeciego dnia przyleciał helikopter. Przykleił się na chwilę, na wysokich obrotach, do wskazanej przez kolegów małej płaszczyny na morenie bocznej około 500 m poniżej bazy. Koledzy włożyli mnie do helikoptera i razem z kierownikiem wyprawy, Krzyskiem Wielickim, odlecieliśmy do szpitala w Katmandu.

Tam właściwie przeczekiwałem na dalszy transport do szpitala w Delhi, by po dwóch tygodniach znaleźć się w Warszawie. W samolotach do Delhi i później do Warszawy wymontowano trzy pary siedzeń, aby mnie ułożyć na podłodze w pozycji leżącej na noszach. W ten sposób po dwóch tygodniach od wypadku dostałem się do Kliniki Medycznej na Lindleya w Warszawie. Dopiero wtedy lekarze zdiagnozowali mój stan zdrowia. Złamana miednica, zerwane wszystkie więzadła w lewym kolanie z odpęknitym kłykiem, liczne rany

na głowie, biodrach, wyrwany bark itp. Potem operacja, długie tygodnie leżenia w klinice i 9 miesięcy chodzenia o kulach.

Czy wówczas, po wypadku, marzyłem o górach? Tak, marzyłem. Czyniłem wszystko, abym jak najszybciej mógł chodzić i cieszyć się nimi. Wcześniej, przez prawie dwadzieścia lat, moim życiem były wyłącznie góry. W nich i to niezależnie czy w Tatrach czy w innych częściach świata, czułem się wspaniale.

MD. Idąc w góry myśli się tylko o szczycie, czy także o śmierci, która czyha na wspinacza?

Walek: Wspinając się w górach, nigdy nie myślałem o śmierci. Ja nie pamiętam szczegółów z poszczególnych wypraw w góry wysokie i nie powiem, że tylko myślałem o zdobyciu szczytu czy trudnej drogi na jakiejś górze. Przecież w wysokich górach, na każdej wyprawie przebywałem czasami miesiąc, dwa a nawet dłużej. To szmat czasu. Idąc dolinami, lodowcami a dalej trudnymi odcinkami po skałach, po śniegu, mimo woli w głowie przemykają różne obrazy. Ciekawość tego co się spotka kolejnego ranka, dnia, nocy. Prawie zawsze są to odkrycia niesamowitej przyrody. I nigdy nie wchodzi się w taką samą dolinę, na taki sam lodowiec, na taką samą ścianę lodowo – skalną czy grań. Świat jest wielką tajemnicą, która mnie od początku moich podróży w nieznanie bardzo, ale to bardzo pociągała. A co będzie jeszcze wyżej, tam gdzie na horyzoncie skały, nawisy śnieżne, na niekończących się ostrych graniach łączą się z błękitem nieba albo giną w gęstych chmurach? A nocą otulają się milionami migających gwiazd? A biwaki w takiej scenerii czyż nie są czymś wyjątkowym? W takich sytuacjach czułem się naprawdę szczęśliwy, bo piękno otaczającej natury, może czasem bardzo groźnej i niebezpiecznej, nastrojało mnie do kontemplacji przez długie godziny. Czasem np. z zimna nie można było spać. Myślami przenosiłem się do domu, do rodziny i najbliższych, do planów tych bieżących ale i również tych związanych z przyszłością a więc z kolejnymi wyjazdami w góry. To nie były odosobnione myśli.

Góry mnie pochłaniały i przyciągały. Tam w oddaleniu od ludzi „wybuchła” we mnie miłość do gór, taternictwa, alpinizmu, himalaizmu – jako przejaw ogromnej radości życia i zauroczenia pięknem stworzenia. Góry zbliżały mnie do Boga. On obdarowywał mnie białością śniegu, zielenią groźnych lodów, trudnymi do opisanego widokami ścian i szczytów w zachodzącym słońcu, aby jeszcze bardziej związać mnie z górami.

Pod Lhotse przeżyłem, Bóg mnie ocalił... i postawił mi nowe zadania do wypełnienia!

Wyjeżdżając na wyprawy, miałem zawsze przed oczyma wyznaczony cel i chęć zdobycia czegoś nowego, wspaniałego. Do tego dochodziła ambicja udowodnienia, że stać mnie na trudne przedsięwzięcia. Już po pierwszych pobytach na 7000 m npm wiedziałem, że stać mnie na więcej, że mój organizm wspaniale radzi sobie ze zmniejszoną ilością tlenu.

W górach wysokich spędziłem dużo czasu. Np. do bazy pod Dhaulagiri zśliśmy trzy tygodnie z karawaną w porze monsunowej. Od deszczu chronił nas tylko worek foliowy

a pijawki wysysały z ciała krew. Czasami miałem dość tych „przyjemności”. Jednak chęć zdobywania śnieżnych kolosów pchała dalej i dalej. A w górach załamanie pogody i przeczekanie w skromnym namiocie przez parę kolejnych nocy i dni. Opad śniegu tak duży, że po nocy dach namiotu przylega do naszych ciał, nawet trudno oddychać. Trzeba przystosować się do dalszych zadań, trzeba czekać - może jednak już jutro zaświeci słońce? Nie zawsze tak jest, czasami warunki pogodowe nie poprawiają się i ...trzeba wracać, trzeba się wycofać. To nie jest tchórzostwo, to realnie oceniona sytuacja. To też jest zwycięstwo. Jak napisał Alek Lwof, „zwyciężyć znaczy przeżyć”.

MD: „...Góry mnie ciągną, góry mnie bawią, jest to dla mnie sposób na życie, nie wyobrażam sobie życia bez gór.” mówił Jerzy Kukuczka i modlił się słowami” od śmierci w dolinach zachowaj mnie Panie” Stoki wielu himalajskich szczytów stały się miejscem wiecznego spoczynku wielu polskich wspinaczy. Ich śmierć, to także wielka trauma dla bliskich, w tym sporej grupy osieroconych dzieci. Czy cena za realizację swoich pasji, nie jest zbyt wysoka?

MD: Od Twojego wypadku minęło już prawie 30 lat. Co porabiałeś? Czy wróciłeś w góry wysokie?

Walek: Nie brałem już udziału w wyprawach. Mój stan fizyczny mógłby być kłopotem dla wszystkich członków wyprawy. Moi koledzy, po wypadku wiele razy namawiali mnie do wyjazdu. Niestety z żalem odmawiałem im. To nie było łatwe dla mnie. Moje wnętrze się buntowało, burzyło. Nie mogłem się pogodzić z faktem wycofywania się z wysokich gór. Przez lata a i jeszcze dziś śnią mi się góry, w których ja jestem, działałem jako uczestnik wypraw w najróżniejszych sytuacjach, nadzwyczajnych warunkach. Są to bardzo realistyczne obrazy, rozmowy z kolegami itp..

Utrzymuję kontakty ze środowiskiem ludzi gór, z moimi kolegami, z którymi jeździłem na wyprawy. Dzięki temu w miarę wiem co się dzieje w środowisku alpinistycznym, jakie programy są realizowane.

Oczywiście, nie spocząłem na przysłowiowych laurach. Uaktywniłem się w turystyce wysokogórskiej, m.in. wszedłem na łatwiejszy szczyt Mt. Kenia w Kenii. Poznają także inne rejony świata, których wcześniej przy aktywnej działalności wspinaczkowej, górskiej nie mogłem zobaczyć, doświadczyć.

MD: W jednym z wywiadów w 2010 r Wielicki stwierdził, że: „Boję się o przyszłość i o to, że podczas zimowych wypraw to nie Polacy będą zdobywać kolejne szczyty. Jest wielu młodych ludzi, którzy pojechaliby zimą w Karakorum, ale brakuje im doświadczenia w przebywaniu w trudnych warunkach, czasu i determinacji, by atakować górę, mając może 5% szans na sukces... Gdyby zebrać nasze geriatryczne towarzystwo, zrobić im przez miesiąc lifting w sanatorium, to obawiam się, że bylibyśmy lepsi niż ci młodzi bez doświadczenia. Niestety, nie byłaby to zbyt liczna grupa. Choćby Artur Hajzer, Walek Fiut, Pawlikowski, Gajewski, Berbeka, ja... Znalazłoby się...” Dzisiaj to grono jeszcze się uszczupliło.

MD: Czy kontuzjowany weteran „złotego okresu polskiego himalaizmu” pojechałby jeszcze zimą w Karakorum?

Walek: Na wspinaczki już niestety nie. Mam jeszcze wielką ochotę z bliska zobaczyć ten świat majestatycznych himalajskich kolosów aby się nacieszyć nimi, napatrzeć jeszcze na nie, tak bez końca. A może nawet jakiś biwak zaliczyć pod gołym niebem, w ich bliskości. Przyglądać się licznym spadającym gwiazdom? Wsłuchać się w życie gór...

"W górach jest wszystko co kocham..." Dla gór, dla ich odkrywania, zdobywania poświęciłem moje młode życie. W pewnym momencie odłożyłem studia, pracę... Nie, nie żałuję tego...

Dziękuję za rozmowę i podzielenie się z czytelnikami „Beskidu” osobistymi refleksjami na temat człowieka w relacji ze światem gór wysokich. Jakże blisko jest im do słów Krzysztofa Wielickiego: „zdobywanie szczytów” to pogoń za emocjami, których w górach ma się w ciągu godziny tyle, ile człowiek na ziemi przeżywa przez całe życie.....

(MD)

Witamy w naszym gronie

Nowy Sącz

Nazwisko i imię	Nr leg.
1. Cisowska Anna	1270
2. Lisowska Natalia	1271
3. Lisowski Paweł	1272
4. Szczypińska Anna	1273
5. Starzy Beata	1274
6. Bugajski Mirosław	1275
7. Fergańska Alicja	1281
8. Wcześny Wanda	1283
9. Chrobak Jerzy	1284
10. Poremba Marta	1285
11. Urbańska Joanna	1286
12. Dziubanowska Jolanta	1287
13. Chrzan Paweł	1288
14.. Janik Artur	1289

Tarnobrzeg

Nazwisko i imię	Nr leg.
28 Rozmus Dorota	1276
29 Rozmus Wojciech	1277
30 Żmuda Justyna	1278
31 Żmuda Roman	1279
32 Kalita Agnieszka	1280
33 Florkiewicz Alicja	1282
34 Stypa Martyna	1291
35 Tomczyk Andrzej	1292
36 Predko Grażyna	1295
37 Kapel Bogusław	1297
38 Skop Bogdan	1300
39 Rys Agnieszka	1301

PRZEKAŻ NAM 1% PODATKU

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie O/„Beskid” w Nowym Sączu Sobieskiego 14a lok. 2 33-300 Nowy Sącz

Krajowy Rejestr Sądowy - nr KRS: 0000343564

DLACZEGO NAM - PTT O/Beskid?

Jesteśmy Organizacją Pożytku Publicznego (non profit) i już od samego początku swojej działalności, czyli od 1906 roku byliśmy i jesteśmy jednym z najprężniej działających Oddziałów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Po reaktywacji w latach 90, nasz Oddział w dalszym ciągu opiera swoją działalność na misji, zasadach i celach najstarszej organizacji turystycznej w Polsce jaką jest PTT.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie propaguje turystykę górską, jako alternatywę spędzania wolnego czasu i formę aktywnego wypoczynku. Zagrożenia współczesności, jakimi są: siedzący tryb życia, konsumpcjonizm, choroby cywilizacyjne (rak, choroby sercowo-naczyniowe, uzależnienia, otyłość i inne) wymagają aktywnego przeciwdziałania. Aktywny wypoczynek i turystyka górską to najtańszy lek na zagrożenia cywilizacyjne. Ta forma wypoczynku przysparza wiele radości, także bogaci w wartości poznawcze, kulturowe i inne ważne dla człowieka.

NA CO PRZEZNACZYMY KWOTY Z 1% PODATKU ?

Na prowadzenie swojej działalności statutowej z większym rozmachem i oddźwiękiem! Nasza organizacja oparta jest na bezpłatnym działaniu swoich członków i sympatyków (w tym około 40 przewodników górskich prowadzących nasze wycieczki i wyprawy). Każda kwota ofiarowana na rzecz naszej organizacji wydatnie obniża koszty udziału w organizowanych przez nas wycieczkach dla dzieci, młodzieży, studentów, emerytów i rencistów a szczególnie całych rodzin, na których udziale szczególnie nam zależy

Almanach Sądecki

Tom nr 3/4 (92/93) „Almanachu”, otwiera artykuł prof. Feliksa Kiryka „Nowy Sącz w XIII – XVI wieku”, będący wyściągą z pracy „Miasta ziemi sądeckiej w XIII – XVI wieku”. Wiadomo że Nowy Sącz lokował Wacław II w 1292 roku, na terenie byłej biskupiej wsi Kamienica, którą Wacław II wymienił z biskupem krakowskim Janem Muskatą za zamek biecki z okolicznymi wsiami. Mniej znany jest natomiast fakt że Kamienica była sporą osadą i spełniała rolę ośrodka miejskiego zanim doszło do formalnej lokacji Nowego Sącza na prawie magdeburskim. Posiadała dwa centra, skupione wokół kościołów św. Wojciecha i św. Małgorzaty. Istniał też tu dwór biskupi. Kamienicę obdarzali przywilejami Bolesław Wstydlivy i Leszek Czarny. Po lokacji z 1292 roku, przeniesiono tu ośrodek miejski z Sącza, który od tego czasu zmienił nazwę na Stary Sącz. Dalej prof. Kiryk pisze o dynamicznym gospodarczym rozwoju Nowego Sącza, zarówno rzemiosła jak i handlu. Było to możliwe dzięki licznym przywilejom nadawanym przez kolejnych władców Polski. Dużą rolę odegrało też położenie miasta na przecięciu kilku szlaków handlowych. Lustracja dróg z 1564 roku wymienia aż siedem takich szlaków. W XVI wieku Nowy Sącz stanowił najbardziej rozwinięty po Krakowie rynek regionalny w Polsce południowo- zachodniej.

Kolejna praca to artykuł Leszka Migrąły „Klasztor i kościół franciszkanów w Nowym Sączu – kalendarium wydarzeń”. Obiekty te powstały w 1297 roku, a więc tylko 5 lat po lokacji miasta i zostały ufundowane także przez Wacława II, króla polskiego i czeskiego. Kalendarium to kilkadziesiąt najważniejszych wydarzeń które miały miejsce w historii klasztoru i kościoła od 1297 do 1789, kiedy po kasacie klasztoru na podstawie dekretu cesarza Józefa II, rozebrano resztki budowli, jakie pozostały po pożarze który miał miejsce dwadzieścia lat wcześniej, a kaplicę Przemienienia Pańskiego sprzedano Żydom, z których rąk przeszedł do protestantów, którym służy do dzisiaj. W kalendarium znajdziemy zapisy na temat słynącego łaskami obrazu Przemienienia Pańskiego, który po kasacie trafił do kościoła farnego św. Małgorzaty.

Spośród pozostałych artykułów chcę zwrócić uwagę na pracę Leszka Migrąły „Kościół i parafia w Paszynie w latach 1967 – 1981”. Ta druga data to śmierć proboszcza Edwarda Nitki. Już dwadzieścia lat wcześniej odkrył liczne talenty artystyczne wśród miejscowej ludności. Dzięki niemu powstał znany najpierw w Polsce a potem i na świecie, ośrodek sztuki ludowej, nazywany „paszyńskim fenomenem”. Zaczęło się od rzeźbiarzy, głównie mężczyzn, a później dołączyły do nich zachęcone przez proboszcza kobiety malujące na szkle. Ks. Nitka zbierał te prace i utworzył na plebani galerię. Ostatnio przeczytałem że niemieccy koneserzy

sztuki zapytani o Nowy Sącz, odpowiedzieli: a to miasto blisko Paszyna. Uzupełnieniem artykułu Leszka Migrąły, jest „Bożonarodzeniowa galeryjka paszyńska” ks. Krzysztofa Węgrzyna, zawierająca reprodukcje dwudziestu prac ludowych artystów z Paszyna.

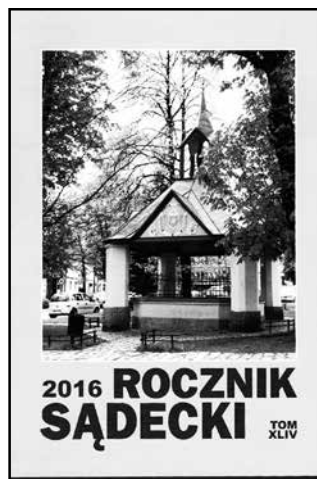
No i nr 1/2 (94/95) „Almanachu”. Tom wyjątkowy, bo jest najobszerniejszy w historii tego wydawnictwa. Zawiera też po raz pierwszy ponad osiemdziesiąt, i to wyłącznie kolorowych fotografii. Najważniejsza jest jednak jego zawartość. Jest całkowicie jednotematyczny gdyż 8 autorów przedstawia monografie sądeckich zabytkowych kościołów. Jest to 10 obiektów z Nowego Sącza i 4 ze Starego Sącza. Jest to wydawnictwo nieocenione dla osób interesujących się zabytkami, w tym również dla sądeckich przewodników.

Maciej Zaremba

„Almanach Sądecki” R.24: 2015, nr 1 (92/93), Nowy Sącz: Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Oddział w Nowym Sączu, 2015, 124 s.

„Almanach Sądecki” R.25: 2016, nr 1 (94/95), Nowy Sącz: Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Oddział w Nowym Sączu, 2016, 212 s.

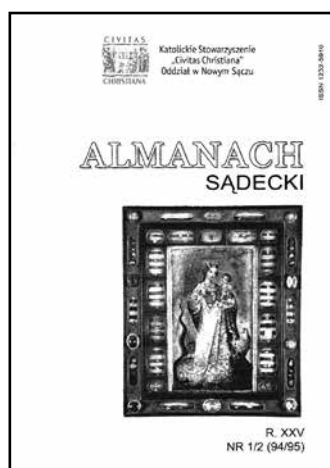
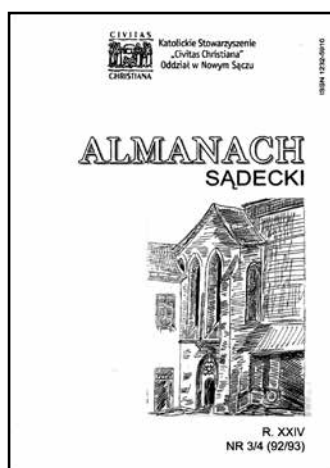
Rocznik Sądecki



monografii „Piwniczna Zdrój. Studia i szkice z dziejów miasta 1772-1998”.

Kolejny, już 44. tom „Rocznika Sądeckiego” zawiera jak zawsze kilkadziesiąt interesujących pozycji. Niektóre z nich chciałbym przybliżyć czytelnikom „Pamiętnika PTT” i może zachęcić do zakupu tego wydawnictwa. Tom rozpoczyna biografia zmarłego niedawno prof. dr hab. Józefa Długosza której autorem jest Marcei Kosman. Prof. Długosz to urodzony w Piwnicznej wybitny historyk, regionalista, wykładowca akademicki, współpracownik „Rocznika Sądeckiego”. Był redaktorem monografii „Piwniczna Zdrój. Studia i szkice z dziejów miasta 1772-1998”. Bobowa jest znana jako ośrodek chasydyzmu a w późniejszym okresie z wyrobu koronek. Początki historii tej miejscowości wiążą się z Bobowskimi, z potężnego rycerskiego rodu Gryfitów. Pisze o tym Sławomir Wróblewski w pracy „Panowie na Bobowej, starostowie w Grybowie. Z dziejów rodziny Bobowskich herbu Gryf w średniowieczu” obejmującej okres od XIV do XVI wieku. Z kolei, o mało znanym fragmencie historii sądeckim Żydom pisze Łukasz Połomski, historyk specjalizujący się w tej tematyce, w pracy „Nowosądeckie drukarnie i księgarnie prowadzone przez Żydów”. Pierwszą w tym mieście drukarnię założył w 1848 roku Józef Pisz, a rok później także księgarnię. Sądeczanom znane są też nazwiska Józefa Jakubowskiego, a w trochę późniejszych czasach Alojzego Mółki. Mniej znamy historię takich zakładów prowadzonych przez Żydów. Pierwsza taka księgarnia powstała w latach 50. XIX wieku, a następnie pierwsza drukarnia. W 1921 roku drukarni takich istniało w mieście pięć.

Historia okupacji niemieckiej w Nowym Sączu jest tragiczna, a jednocześnie bardzo bogata. Napisano na ten temat wiele tomów. W swojej pracy „Nowy Sącz w latach II wojny światowej”, Leszek Migrąła przypomina więc najważniejsze tylko wydarzenia z tego okresu. Kolejne rozdziały noszą nazwy „Wrzesień 1939 roku”, „Okupacyjny aparat władzy i próba nadania miastu niemieckiego oblicza”, „Okupacyjna codzienność”, „Terror i mar-



tyrologia”, „Szkoly. Tajne nauczanie i inne formy walki cywilnej”, „Konspiracja wojskowa i walka zbrojna” oraz „Ostatnie dni okupacji niemieckiej”. Z tego ogromu informacji, warto przypomnieć za Leszkiem Migrałą: „Po zajęciu Nowego Sącza Niemcy powierzyli czasowo obowiązki prezydenckie dr. Romanowi Sichrawie, zobowiązując go do sporządzenia listy zakładników, na którą ten, protestując, wpisał dziesięć razy swoje własne nazwisko, czym wzbudził podziw samego okupanta”. O kolejnym wydarzeniu, które wydaje się być gotowym scenariuszem do filmu, autor pisze: „W niezwykłych okolicznościach przeżyła okupację Berta Korenman, wyprowadzona z getta przez swego przyszłego męża Stefana Mazura, który wydosłał z dzielnicy żydowskiej także Helenę Szancer. Swoją historię ocalała przekazała na piśmie Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu, opisując ucieczkę z getta oraz kilkumiesięczne ukrywanie się w ciasnym pomieszczeniu wieży ratusza, w którym znajdował się mechanizm zegara. Dalej Leszek Migrała cytuje fragment pisma Berty: „Po wywiezieniu moich rodziców i brata ja pozostałam jeszcze w getcie i prawie każdego dnia utrzymywałam ze Stefanem kontakt korespondencyjny /przerzucając przez mur owinięty grypssem kamyk/ i w ten sposób uzgodniłam że przy jego pomocy ucieknę z getta, gdyż wkrótce nastąpi całkowita jego likwidacja. W umówionym dniu wieczorową porą Stefan przyszedł w pobliże muru getta i gdy dał mi znak, wdrapałam się z pomocą mej koleżanki Heli Szancer na mur i zeskoczyłam w zarośla, na tzw. aryjską stronę. Następnie odczekawszy chwilę, pobiegliśmy ze Stefanem do kryjówki – pomieszczenia ratuszowego zegara, który był codziennie nakręcany przez Stefana zatrudnionego w zakładzie zegarmistrzowskim Henryka Dobrzańskiego sprawującym jego bieżącą konserwację. Kolejnym scenariuszem na sensacyjny film, jest brawurowa akcja odbicia z nowosądeckiego szpitala emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego Jana Karskiego w lipcu 1940 roku.

Drugą pracą Leszka Migrały w tym tomie „Rocznika” jest „Sytuacja polityczna w Nowym Sączu /styczeń 1945 – styczeń 1947/ w świetle akt Starostwa Powiatowego”. Wbrew woli społeczeństwa, pod sowieckimi bagnetami, właśnie w tym czasie, wprowadzono w Polsce ustrój komunistyczny. Akty gwałtów, rabunków, kradzieży czy morderstw popełnianych przez żołnierzy Armii Czerwonej były na porządku dziennym. Autor przytacza fragmenty rejestru tych przestępstw popełnionych w Nowym Sączu i np. tylko od 1 do 4 października 1945 roku zanotowano ich 11.

Agata Tobiasz w artykule „Walka o duszę rabanta. Wspomnienia Karola Bołoz Antoniewicza o misjach z 1846 roku”, przypomina jego postać z okresu pobytu w nowosądeckim klasztorze ojców jezuitów. Tu napisał popularną pieśń religijną „Chwalcie łąki umajone”. Dwie prace poświęcone są niedawno zmarłemu, wielkiemu sądeckiemu patriocie. Bogusław Kołcz opracował artykuł „Izak Goldfinger – misja życia i miłości” a ks. Stanisław Pietrzak „Podwójna tragedia Izaka Goldfingera. Izak jako jedyny z ponad 100 osobowej rodziny, ocalał z holokaustu i wyjechał do Palestyny. W Izraelu był współtwórcą Ziomkostwa Sądeczan , a od lat 80. regularnie odwiedzał Nowy Sącz. Obywatelstwo polskie zabrane mu przez władze komunistyczne, odzyskał w 1995 roku.

Z dużym zaciekawieniem przeczytałem pracę Sławomira J. Tabkowskiego „Obrazy z pamięci – Nowy Sącz w połowie ubiegłego wieku”. I powróciły wspomnienia, ponieważ są to czasy mojej wczesnej młodości. W 1951 roku rozpocząłem naukę w Szkole Podstawowej im. Adama Mickiewicza a w 1958 roku w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Długosza. Przez cały ten czas mieszkałem w ratuszu, gdzie dziadek od 1913 roku posiadał mieszkanie służbowe. Autor podzielił swoje wspomnienia na rozdziały: „Pejzaże miasta”, „Portrety”, „Martwa natura”, „Sceny rodzajowe”, „Sceny batalistyczne” i „Malarstwo abstrakcyjne”.

No i pozostałe działy rocznika. Wśród kilkunastu recenzji, przymykając skromnie oczy, chcę zwrócić uwagę na omówienie przez Leszka Migrałę monografii „Polskie Towarzystwo Tatrzań-

skie Oddział „Beskid” w Nowym Sączu 1990-2015” której jestem autorem. Wydana została z okazji obchodów 25 - lecia reaktywowania nowosądeckiego Oddziału, tego zasłużonego dla turystyki Towarzystwa.

Stałą i cenną pozycją w „Roczniku” jest kronika „Nowy Sącz 2015”, w której Jerzy Leśniak pieczętowanie odnotowuje dzień po dniu najważniejsze wydarzenia które miały miejsce w Nowym Sączu. Członkowie PTT mogą tam m.in. przeczytać o obchodach wspomnianego wyżej 25 - lecia reaktywowania Oddziału, o zdobyciu przez Joannę Augustyńską , Roberta Biernackiego wraz z trzema innymi osobami legendarnej góry Ararat, czy o udziale Towarzystwa w kweście Ratujmy Sądeckie Nekropolie. Jak zwykle, tom „Rocznika” kończą „Materiały do bibliografii Sądeczczyzny w 2015 roku” opracowane przez członka PTT Martę Treit. Bibliografia jest tradycyjnie bardzo obfita i tym razem zawiera 328 pozycji, w tym kilka związanych z PTT.

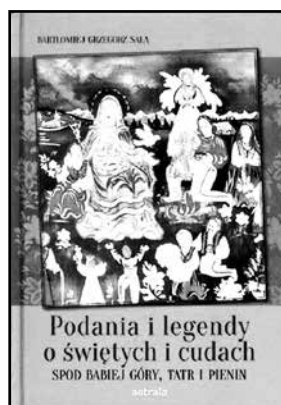
No i jak to się dzieje już od kilku lat, „Rocznikowi” towarzyszy pozycja wydana w ramach Biblioteki „Rocznika Sądeckiego”. Tym razem jest to „Choć po lewicy, a wszelako prawy... Józef Oleksy 1946 – 2015” Jerzego Leśniaka. Ta bardzo osobista biografia „premiera z Sącza” zawiera też sporo innych materiałów, wspomnień czy artykułów prasowych.

Maciej Zaremba

„Rocznik Sądecki” t.XIV:2015. Prezydent Miasta Nowego Sącza i Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Nowym Sączu, 2016, 504 s.

Jerzy Leśniak, „Choć po lewicy, a wszelako prawy... Józef Oleksy 1946 – 2015”. Prezydent Miasta Nowego Sącza. 2016, 168 s.

Podania i legendy o świętych i cudach



Trudno mówić o Karpatach bez legend o świętych i cudach. Trudno mówić o polskim Podtatrzu i Pieninach bez legend o Matce Boskiej Ludźmierskiej i świętej Kindze. Góralski żywot cechowało bowiem zawsze szczególne nagromadzenie bardzo przyziemnego profanum i szczególne natężenie niezwykle wzniosłego sacrum, które zresztą często zstępowało pod chłopskie strzechy, dzieląc radości i troski ze zwykłymi śmiertelnikami. Ludowa religijność zawsze balansowała pomiędzy gorli-

wą i nabożną czcią a kreśleniem niebiańskich postaci i stosunków na wzór ludzki, niekiedy nawet z pewnym poczuciem humoru.

W niniejszej publikacji postanowiłem zebrać najważniejsze religijne legendy i podania z rozłożonej u stóp Babiej Góry Orawy, wdzięczącego się pod tatrzańskimi turniami Podhala oraz wciąż tajemniczego Spiszu i magicznych Pienin. Nie jest to naturalnie w żaden sposób materiał niedostępny, pewne jego partie opracowywały bowiem już wcześniej osoby takiego formatu jak Włodzimierz Wnuk czy Urszula Janicka-Krzywdą (której zresztą zawdzięczamy szczególnie dużą część zamieszczonych tutaj opowieści), brakowało jednak dotąd skumulowania go w jednym miejscu wedle czytelnego klucza. Stąd właśnie pomysł na publikację, która opierając się na dotychczasowej literaturze przedmiotu i nie aspirując do rywalizowania z nią, odnośną tematykę porządkuje i poniekąd odświeża. Na kartach niniejszej książki proponuję Czytelnikowi spotkanie z licznymi religijnymi legendami i podaniami spod Babiej Góry, Giewontu i Trzech Koron, skrupulatnie niegdyś zapisywanymi przez całe pokolenia badaczy folkloru, a na nowo przeze mnie opracowanymi literacko oraz opatrzonymi historycznymi i antropologicznymi komentarzami...

Bartłomiej Grzegorz Sala

„Podania i legendy o świętych i cudach” Wydawnictwo ASTRALIA, 160 s.

Dokonania sekcji i klubów PTT w 2016 r.



Klub Szalonych Emerytów - 1.06-Cyrla- fot. W. Łoboz



Klub Szalonych Emerytów - 11-13.05 - Praga, Sudety
- fot. J. Kulaszyński



Sekcja Biegowa - 7.05-Bieg Kurierów - fot. M. Przybylska



Sekcja Biegowa - 26.11-Maraton Komandosa
- fot. J. Augustyńska



Sekcja Biegówkowa - 6.01-Trening w Ptaszkowej
- fot. P. Kogut



Sekcja Rowerowa - 13.08-Rajd Pętla Popradu
- fot. M.Przybylska



Szkolne Koła PTT - 17.09-Lubań fot. Z.Smajdor



Wycieczka dla Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku
- Beskid Wyspoy-11.12 - arch. Oddz - fot. M. Zaremba



Kroniki PTT Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu

Dzięki zaangażowaniu i współpracy wielu osób (szczególnie Pawła Myślika i Zbyszka Smajdora) mamy cyfrowe wersje KRONIKI naszego Oddziału redagowanej od 2013 r. przez Krysię i Zbyszka Smajdorów, a także wcześniejszych autorów. Poszczególne tomy zostały zdigitalizowane przez Bibliotekę Cyfrową w Krakowie. Kolejny tom Kroniki Oddziału „Beskid” PTT obejmujący II półrocze 2016 r. ukończony. Wśród przeglądu wydarzeń z naszej działalności jest m.in. o wyprawie do Gruzji i Armenii oraz w ukraińskie Gorgany. Oglądając możemy powspominać wycieczki tatrzańskie oraz sukcesy naszych kolegów, którzy przeszli Główny Szlak Sudecki i Główny Szlak Beskidzki. Jest też o biegowym wyczynie Joli Augustyńskiej, która ze znakomitym wynikiem ukończyła jedną z najtrudniejszych imprez biegowych w Polsce – Wielkiego Lublinieckiego Szlema, składającego się z trzech ekstremalnie trudnych biegów. Na kartach kroniki możemy też prześledzić imponującą działalność Klubu Szalonych Emerytów, Szkolnych Kół PTT i Sądeckiej Grupy Rowerowej PTT. Zapraszamy do lektury! Link do kronik znajdziesz na stronie pttns.pl

Kroniki 2016 fot. Z. Smajdor

Beskid - Pismo do użytku wewnętrznego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu. www.pttns.pl
ul. Sobieskiego 14a/2 (Biuro „Wakacyjny Raj”) tel. (18) 444 29 22

Opracowanie: Maria Dominik e-mail: mariaDominik@op.pl

Nakład: 600 egz. **Nr ISSN:** 1426-6776.

Druk: Centrum Druku Poligrafia Małopolska, ul. Traugutta 3, 33-300 Nowy Sącz, tel. (18) 547 40 50, www.poligrafiamalopolska.pl